№ 38 Warszawa, dnia 6 (18) Września roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

OWOC ZAKAZANY.

Komedya w jednym akcie wierszem,

oryginalnie napisana

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Dokończenie).

Scena siódma.

Bojomir, Marek.

Bojomir.

Do kroć set batalionów! interes nic potem;
A jak pachnie, powąchaj.

Marek (powąchawszy).

Aż mi w nosie wierci!

Bojomir.

Co za śmiałość! prędzejbym spodziewał się śmierci.

Marek.

List pisał do mej córki!

Bojomir.

I buntować sługi.

Marek.

Czytajmy!

Bojomir.

Tak, czytajmy!
(odpieczętowawszy).
Oj coś strasznie długi!
(przebiegając list).
„Dusz związek... żar uczucia... czuła myśli spowiedź..."
Pełno zaklęć miłosnych, prosi o odpowiedź..

Marek.

Pewny swego...

Bojomir.

Jakby już stał na kobiercu;
I tak ciągle bez końca o duszy, o sercu,
Cztery strony nabite w formaciku małym,
A co piżma!

Marek.

Do zbytku.

Bojomir.

Wąchałeś?

Marek.

Wąchałem.

Bojomir.

Ot skutki kiedy Ojciec miasto strzedz swej córki,
Zbiera stare rupiecie, bronzowe figurki,
A pragnąc świat uczony zdumić swoją wiedzą,
Siedzi nad szpargałami które myszy jedzą.

Marek.

Lecz jak począć, co zrobić?

Bojomir.

Do stu fur kartaczy!
Gdy zaczął niechże koniec romansu zobaczy.

Marek.

Dla Boga, chcesz go wyzwać, bić się?

Bojomir.

Oczywiście,
Wiem nawet gdzie go szukać: ot adres na liście.

Marek.

Nie czyń tego, ja proszę.

Bojomir.

Koszałki, opałki!
Sacre mille bomb i beczek, zrąbię na kawałki:
Tyś miękki siedź więc w domu, ja wyręczę w trudzie.

Marek.

Ale skandal wyniknie, gadać będą ludzie...
A ztąd plotki...

Bojomir.

Masz słuszność, trudno obcesowo...
Czekaj chwilę...
(pomyślawszy).
Wybornie, mam już myśl gotową:
Ten list z którego takie buchają odory,
Będzie dla niej lekarstwem na głupie amory.

Marek.

Ja sądzę, lepiej podrzeć...

Bojomir.

Przeciwnie, niech czyta,
Sprowadzę tu młokosa zejdą się i kwita.

Marek.

Dla Boga co chcesz czynić!

Bojomir.

Mam w tem moje plany,
Ty mi w nich dopomożesz mój Marku kochany,
Naprzód oddasz list córce.

Marek.

Oddać?

Bojomir.

Nieinaczej.

Marek.

Nie uchodzi.

Bojomir.

Dla czego?

Marek.

Podrzyjmy go raczej.

Bojomir.

A gdy młodzian słać będzie bileciki zdradnie
I powoli do serca panienki się wkradnie?
Nie, lepiej raz zakończyć sprawę niewesołą;
Oddaj, trochę pofukaj albo namarszcz czoło...
Rzecz główna by powiedział córce mimochodem,
Że Henryk tak bolesnym dotknięty zawodem,
Wyjechał. Ja za chwilę wracam z Letkiewiczem.
(odchodzi).

Scena ósma,

Marek później **Janina.**

Marek.

Szast, prast, już pewny swego. wszystko dlań jest [niczem,
Lecz ma dobre pomysły i bystry ogromnie.
Trudno, trzeba go słuchać...
(woła do drzwi pokoju Janiny).
Janinko chodź do mnie,
Chciałem z tobą pomówić...

Janina (za sceną).

Spieszę ojcze zaraz.
(wszedłszy).
Otóż jestem.

Marek (na stronie).

Powiedzieć niemały ambaras.
Jak zacząć?
(głośno).
Zważ tylko, na świecie nierzadko
Wiele rzeczy się staje dla ludzi zagadką;
Ja sam nawet gdy śledzę wśród zatartych głosek,
Nie wiem jaki z tych znaków wyprowadzić wniosek,
A nim zgadnę hieroglif egipskich piramid,
Wiedza głowę rozsadzi jak skałę dynamit.

Janina (opierając głowę na jego ramieniu).

Chcesz bym ci dopomogła?

Marek.

Mam trudność nielada,
W zgadnięciu hieroglifu—i tobie wypada
Wyjaśnić.

Janina.

Ja nie zdołam.

Marek.

U takich istotek
Jak ty, umysł bystrzejszy...
(po chwili)
Bawiłaś u ciotek
Przez miesiąc?

Janina.

Tak jest ojcze.

Marek.

Otóż u nich właśnie
Jest klucz z którego treść tej zagadki wyjaśnię.

Janina

Nic ojcze nie rozumiem.

Marek.

I ja też nie więcej,
Wiem tylko że panienka w płochości dziecięcej,
Jakieś listy odbiera, jakieś figle płata,
A zaś Henryk odjechał.

Janina.

Gdzie?

Marek.

Na koniec świata,
Albo dalej...

Janina.

Co słyszę?

Marek.

Poleciał na kolej;
Chłopiec nie w ciemię bity i ma w głowie olej,
Szkoda go. Tamten drugi nie wart jego pięty;
Mówią ludzie że sobą tylko jest zajęty,
Że... ale mniejsza o to, chciałaś, bierz tę lalę,
Ja uczuć serca twego nie tamuję wcale,
Powiem, co paść miało niechaj raz już padnie...
Ale słać takie listy to wcale nieładnie.

Janina.

Jakie listy? nic nie wiem.

Marek.

Jakie? Od gagatka,
Tu właśnie hieroglifu mieści się zagadka,
Albo też pism sanskryckich tajemna osnowa...
Na, masz, bierz i przeczytaj. Nie rzeknę ni słowa.
Ojca się nie radziłaś, dla mnie rzecz ta obca...
(odchodząc ogląda się i mówi).
Ale Henryk odjechał—szkoda tego chłopca!

Scena dziewiąta.

Janina (sama)

Janina.

Ten list, ten odjazd nagły... co to znaczyć może?
I ojciec rozgniewany, zobaczym...
(przebiega list)
O Boże!
Jego podpis—on śmiałby tak postąpić ze mną..
(czyta)
„Wiem, że pani w uczuciach jest dla mnie wza [jemną:
Próżno walczyć z miłością: kochasz, to rzecz jasna."
(mówi).
Jaki ton, jaka pewność, co za miłość własna!
Czyliż mu dałam prawo kreślić takie słowa!
Prawda że zajmowała mnie jego rozmowa,
Żem po całych godzinach słuchała niebacznie
Co mówił; że czasami powoli, nieznacznie,
Wpadłam w jakąś zadumę, a z przelotnych wrażeń,
Wysuwałam w swej myśli złotą nitkę marzeń,
O miłości co sama wśród serca się budzi,
Nie przez wolę rodziców lub namowy ludzi.
Kochać go? O! nie jeszcze—lubiłam, nic więcej,
A on ten szał niebaczny prostoty dziecięcej,
Wziął za celów zalotnych dowód oczywisty...
(rzuca list na ziemię)
Henryka tu już nie ma! opuszcza te strony;
Wie o liście, rzecz pewna—odjechał zmartwiony
(po chwili).
Biedny! a jego miłość była taka szczera,
Lecz ja...
(zamyśla się)
Nie myślmy o tem bo się na płacz zbiera.
(po chwili).
Odjechał i nie wróci... Czyliż mógł tu zostać,
Gdym rzekła że w uczuciach nie zdołam mu [sprostać,
Gdym z wzgardą odrzuciła tak czułe kochanie...
O jakżem nieszczęśliwa!
(odchodzi do swego pokoju).

Scena dziesiąta.

Bojomir, Alfred.

Alfred (ciągniony na przód sceny przez Bojomira).

Co? jak? gdzie?

Bojomir.

Tu.

Alfred.

Panie,
Dalibóg nie rozumiem!

Bojomir.

Chwilę cierpliwości,
A dokładnie zrozumiesz..

Alfred.

Uf! nie czuję kości!
Zaprawdę pan się ze mną obchodzisz jak z dziec- [kiem;
Siedziałem sobie właśnie w hotelu niemieckim,
Zjawia się golibroda, bom mu przyjść rozkazał,
I zaledwie mi mydłem pół brody namazał,
Wpadasz pan niby bomba: „Dalej, czas nam [w drogę!..
„Gdzie, po co?" „Jest interes" „Przepraszam, nie [mogę."
„A dla czego nie możesz?.." „Bo się teraz golę."
Nie słuchasz, chwytasz ręcznik co leżał na stole,
Trzesz brodę. „gwałtu!... krzyczę:" to napaść [obrzydła,
Oczy na wierzch wyłażą, pełna gęba mydła,
A cyrulik przelękły myśląc żeś sfiksował,
Rzucił pędzel wraz z brzytwą i pod stół się schował.

Bojomir.

Przesadzasz, do pośpiechu dałem tylko hasło,
To grzeczność.

Alfred.

Piękna grzeczność, aż mi w stawach trzasło!
A potem kiedy wzrokiem szukam wyjścia z sali,
Chwytasz pan surdut, westkę krawat i... tam dalej,
Pchasz ramiona w rękawy, w pantaliony nogi
I wołasz grubym głosem: „marsz, bo kawał drogi
Z hotelu do mieszkania.

Bojomir.

Bo mi pilno było.

Alfred.

Zgłupiałem. Potem chwytasz herkulesa siłą,
Kiedym jeszcze nie zdołał uczesać swej głowy...
Do czego ja podobny, do czego...

Bojomir.

Do sowy.
Lecz aści przystawiłem w czasie niezbyt długim,
To grunt.

Alfred.

Pędzim dorożką niby ekstracugiem,
Ciągniesz mnie pan za kołnierz...

Bojomir.

Za rękę.

Alfred.

Za kołnierz!

Bojomir.

Za rękę! milion fur bomb—cóżto, stary żołnierz
Twierdzi, a pan śmiesz przeczyć!

Alfred.

Z resztą mniejsza o to,
Ale któż mu dał prawo równać mnie z hołotą?

Mam stosunki, znaczenie, dwie wioski na Żmudzi,
I liczę się do dobrze wychowanych ludzi,
Cóż więc znaczy ten impet?

Bojomir.

Znaczy mój młodzieńcze,
Żeś ty sprawę rozpoczął, a ja ją uwieńczę,
Jak trzeba?

(podnosząc list z ziemi i pokazując).

Znasz to pismo?

Alfred (na stronie).

Mój list do Janiny!

(głośno)

No cóż z tąd?

Bojomir (przedrzeźniając).

No cóż z tąd!... nie strój takiej miny,
I odpowiedz mi zaraz krótko, węzłowato,
Czyś pragnąc posiąść pannę rozmówił się z tatą?
Milczysz? a więc zapewne jak pokątny łowiec,
Bez pozwolenia ojca biegłeś przez manowiec,
Prawiąc jej o dusz związku, o niezmiennem sercu...
Dość głupstw! pora tę sprawę skończyć na kobiercu.

Alfred (na stronie wystraszony, oglądając się dokoła siebie).

Aj! aj! gotów mnie kazać na dywan położyć!

(głośno z przerażeniem)

Panie, godność... ten... tego..

Bojomir.

Nie masz się co trwożyć,
Gdy mówię o kobiercu to o tym w kościele;
Dziś się ojcu oświadczysz—za miesiąc wesele.

Alfred (na stronie).

Ochłonąłem!

(głośno)

Wesele za miesiąc, to trocha
Za prędko. Muszę poznać czy mnie panna kocha,
Czy zgodność charakterów...

Bojomir.

Milion fur par beczek!
A czy godzi się listy słać do panieneczek?
Nie, oświadczysz się zaraz—ja stanę u proga,
I jak mnie żywym widzisz klnę ci się na Boga,
Jeżeli zechcesz dłuższe stroić ceregiele,
To rozsiekam w kawałki albo też zastrzelę?

Alfred (na stronie).

A to dyabeł nie człowiek!

Bojomir.

Słyszałeś?

Alfred.

Słyszałem.

Bojomir.

Teraz spraw się galancko.

Alfred.

Jestem tak nieśmiałym!

Bojomir.

Widzę, trzęsiesz się cały... może szklankę wody?

Alfred.

Nie, dziękuję...

Bojomir.

No dalej—a za miesiąc gody.

Scena jedenasta.

Alfred (sam).

Alfred.

Toż wpadłem w tarapaty przez naturę czułą
Już czuję jak mi ręce będą wiązać stułą;
Nie zechcę, łeb roztrzaska ten stary maruda!
Lub też uszy obetnie. O przeklęty Amer!
Miałem partyę napiętą trzy kroć sto tysięcy,
A po życiu najdłuższem rodziców coś więcej,
Że zaś panna dość szpetna i twarz ma niegładką
Zachciało się żartować z tą małą dzierlatką..
Fiuuut! posażek przepada. Stracić taką szansę
Karyery, przez dziecinne i głupie romanse
Nader jest nieprzyjemnie...

Scena dwunasta.

Alfred, Janina później **Bojomir.**

Janina (wchodzi trzymając list w ręku).

Ot tak będzie lepiej;
Pisałam do Henryka, ten list go pokrzepi,
Pozna wszystko co czułam i wróci niebawem.

(spostrzegłszy Alfreda)

Pan tu?

Alfred.

W własnej osobie.

Janina.

Jakiem śmiałeś prawem
Przybyć po tem co zaszło?

Alfred.

Jakiem? mimo chęci,
Ciągnął mnie obcesowo.

Janina.

Kto?

Alfred (spostrzegłszy ukazującego się we drzwiach Bojomira).

Urok pamięci
Chwil przeszłych...

Janina.

Nie rozumiem.

Alfred (na stronie).

I ja ani troszkę,

(głośno)

A potem z całej siły wepchnął mnie w dorożkę...

Janina.

Kto taki?

Alfred (patrząc ze strachem na znaki jakie mu daje Bojomir).

Szał miłości pragnień i nadziei...

Janina.

Panie, tak dziwne słowa...

Alfred (na stronie).

Nic mi się nie klei,
Dalibóg że nie wybrnę, a ten straszny człowiek
Wciąż mi działa na nerwy mruganiem swych [powiek...

(ze strachem)

Jak charczy! istne piekło. Darmo, skończyć trzeba...

(głośno)

Jam niczemu nie winien, lecz jak piorun z nieba
Spadł na mnie...

(spojrzawszy na Bojomira)

Wspominek straconego raju.

Janina (zdziwiona).

Co to znaczy, miałżeby...

(kręci palcem koło czoła).

Bojomir (niewidziany przez Janinę, przysuwa się i mówi do ucha Alfredowi).

Oświadcz się mazgaju!

(odchodzi).

Alfred (padając nagle na kolana).

Pani, pchnięty nawałem rozlicznych kłopotów...
Chciałem mówić miłości... jam ci święcić gotów
Me serce, mą osobę...

Janina.

Prożno pan się trudzi.

Alfred.

Nazwisko, kapitały, dwie wioski na Żmudzi,
Nadzieje po dwóch stryjach i spadek po papie..

(odetchnąwszy)

Uf! nareszcie wybrnąłem, aż pot z czoła kapie,
Stary musi być kontent..

Janina.

Wstań natychmiast proszę;
Mogę obłęd darować, lecz obelg nie znoszę;
Kto zaś śmie słać list pannie wbrew ojcowskiej woli,
Ten mężem mym nie będzie...

(kłaniając się)

Zatem pan pozwoli...

Alfred (powstawszy, mówi na stronie z radością).

Koszyk, dalibóg koszyk! złożyło się ładnie
Jestem wolny!

(zastanowiwszy się)

A stary jak mi na łeb spadnie
I rozsieka w kawałki?... Tu ślub a tam trumna...
Jużcić lepiej się żenić...

(głośno)

Nie bądź pani dumna,
Miej litość nad cierpieniem, boleść niesłychana
Rozrywa moje serce...

Janina (chcąc odejść).

Dość już, żegnam pana.

Scena trzynasta.

Ciż i Henryk.

Henryk.

Janino!

Janina.

Nie odjechał, o chwilo radości!

Henryk.

Stryj zawrócił mnie z drogi.

(spostrzegłszy Alfreda)

Cóż to, macie gości
W tej porze?

Janina.

Pan Letkiewicz wszedł tu niespodzianie.

Henryk (na stronie).

Ten fircyk, w jakim celu?

(Alfred chce odejść)

Zatrzymaj się panie,
Pragnę z tobą pomówić...

Alfred (na stronie).

Pewnie nie dopatrzył
Stary, i pragnąc wiedzieć czym się już oświadczył
Posyła z zapytaniem

(głośno)

Ja wszystko z przejęciem
Należytem wyrzekłem: że pragnę być zięciem...

Henryk.

Czyim?

Alfred.

Ojca tej panny, że ją sercem całem
Kocham...

Henryk.

I toś powiedział?

Alfred.

Tak jest powiedziałem.

Henryk.

Mój panie, za ten podstęp potańcujesz troszkę!

Alfred.

Jaki podstęp? mnie gwałtem wsadzono w dorożkę
Gdy miałem golić brodę. Dotąd tej zagadki
Pojąć nawet nie mogę.

Henryk.

Broń, miejsce i świadki.

Alfred.

Posłuchaj!

Henryk.

Nic nie słucham.

Alfred.

Chociażby dwa słówka..,

Henryk.

Próżny wykręt, wychodźmy!

Alfred (na stronie).

Znów nowa dachówka
Spada na łeb, nie zbawię się żadnym okupem!

Henryk.

Służę panu, czas nagli...

Alfred (na stronie).

Gwałtu, jestem trupem!

(pomyślawszy)

Może nie wie o wszystkiem. .

(głośno)

Pan pewno się myli:
Oświadczyłem się pannie.

Henryk.

Kiedy?

Alfred.

Ot w tej chwili,
Jam nie winien, ja nie chcę zwady szukać z nikiem,
Jam i tak obdarzony...

Henryk.

Czem?

Alfred.

Czemże? koszykiem
Cnotliwe moje chęci stwierdziłem wyrazem
Klęczałem.

Henryk.

Co, klęczałeś?

Alfred.

Tak jak przed obrazem,
Niech pani sama powie.

Henryk.

Miesza mi się w głowie,
Nic a nic nie rozumiem.

Janina.

W nader krótkiem słowie
Całą rzecz ci objaśnię. Ten pan o mą rękę
Starał się, ja za zaszczyt składając podziękę,
Objawiłam że żoną jego być nie mogę.

Henryk.

Czyliż prawda?

Janina (dając mu list trzymany w ręku).

Przeczytaj; gdyś się udał w drogę
Skreśliłam co dla ciebie chowam w sercu na dnie:
Weź, zobacz...

Henryk (przebiegając list).

O radości!

Alfred (na stronie).

Dachówka nie spadnie.
Nareszcie ocalałem!

(głośno)

Skończył się frasunek,
Wszyscy radzi, więc mogą złożyć mój szacunek.

Janina.

Żegnam.

Henryk.

Szczęśliwej drogi.

Alfred (na stronie).

Teraz pędzę kłusem,
A za tydzień najdalej żenię się z garbusem.

Scena czternasta i ostatnia.

Janina, Henryk, (na przodzie) **Bojomir, Marek** (w głębi).

Henryk.

Więc mnie kochasz?

Janina (z uczuciem).

O kocham!

Henryk.

Szczęście me bez miary!

Bojomir (do Marka).

Chodź, patrz i pobłogosław związkom młodej pary.

Janina (do Marka).

Ah ojcze!

Henryk (do Marka).

Drogi panie!

Marek (wskazując na Bojomira).

Jemu, ale nie mnie
Dank nieście: on was złączył, on przejrzał przez [ciemnie.

Henryk.

Jakto?

Bojomir.

Prostym sposobem. Gdy panna pod nosem
Ma chłopca, to na niego spogląda ukosem,
A przeszkody dopiero budzą żar nieznany.

Marek.

Więc dla kobiet najmilszy...

Bojomir.

Owoc zakazany.

KONIEC.

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dokończenie).

Antonina przez godzinę pozostała w stanie niemego odrętwienia; poczem wywiązała się gwałtowna gorączka. Gdy przybył doktór, pan Langis wsunął się za nim do pokoju chorej. Majaczenie się rozpoczęło. Antonina przesuwała ciągle rękę po czole, jakby chcąc zmazać skażony ślad pocałunku, który na niem złożyły pewne usta, jednego wieczoru, w obec świecącego księżyca, i przykre wrażenie pozostawione przez skrzydła nietoperza, który się do jej kapturka przyczepił. Te dwa wrażenia zmieszały się w jej wspomnieniu, od czasu do czasu powtarzała:

— Gdzie jest medalion z moim portretem, oddajcie mi go.

Około dziesiątej godziny wieczór, pan Langis stanął u drzwi mieszkania Samuela Brohl, którego te odwiedziny wcale nie zadziwiły, widocznie spodziewał się ich. Samuel uspokoił się zupełnie. Był pełen godności i spokoju. Jednakże przebyta niedawno burza, zostawiła ślady na jego obliczu. Usta mu drżały, bujne włosy pozwijane w nieładzie, otaczały twarz jego, niby węże głowę Meduzy.

— Kiedy i gdzie? rzekł zwracając się do Kamila, świadkowie nasi resztę załatwią.

— Mylisz się pan co do powodu mego przybycia, odparł pan Langis. Bardzo mi przykro zniweczyć złudzenia pańskie, ale nie przybywam tu w celu naradzenia się nad naszem spotkaniem.

— Odmawiasz pan?

— A czego pan żądasz?

— Znieważyłeś mnie.

— Kiedy?

— Jakto, powiedziałeś mi sam: dzień, miejsce, broń, zostawiam panu wszystko do wyboru.

Pan Langis nie mógł powstrzymać uśmiechu:

— Ah! więc przyznajesz pan nareszcie, że twe omdlenia są tylko zwykłą komedyą?

— Przyznaj pan ze swej strony, że wtedy tylko znieważasz ludzi, gdy myślisz że są niezdolni słyszeć cię. Odwaga pana lubi się zabezpieczać.

— Bądź pan rozsądnym, odparł Kamil. Wyzwałem hr. Laryńskiego, ale nie możesz pan żądać, abym się bił z Samuelem Brohl.

Samuel zerwał się z miejsca, postępując z podniesioną głową ku młodzieńcowi, który czekał na niego, nie uczyniwszy najlżejszego nawet poruszenia. Brohl spojrzał tylko groźnie i powrócił na swoje miejsce, przygryzając wargi; po chwili rzekł niby spokojnie:

— Czy zechcesz pan objaśnić mnie w jakim celu zaszczycasz dziś dom mój swoją bytnością.

— Przyszedłem odebrać od pana, portret panny Moriaz.

— A jeśli ja nie będę chciał go oddać, odwołasz się pewno do mojej delikatności.

— Czy możesz wątpić? odparł ironicznie Kamil.

— To świadczy, że wierzysz jeszcze w hr. Abla Laryńskiego i że do niego mówisz w tej chwili.

— Nie łudź się pan. Przybyłem do Samuela

Brohl, z którym chcę załatwić pewien interes.—To mówiąc wydobył z kieszeni wyładowany pugilares: Widzisz pan, że nie przybyłem z próżnemi rękoma.

Samuel rozparł się w krześle. Przymrużywszy oczy, spojrzał na pana Langis z pod długich rzęsów. Wyraz twarzy jego zmienił się w jednej chwili, nie był to już lew dawny, pozostał już tylko przebiegły lis. Na ustach osiadł mu ponętny uśmiech lichwiarza, zastawiającego sidła na synów bogatych rodzin, przeczuwając korzystny interes. Gdyby w tej chwili Jeremiasz Brohl, był go ujrzał z tamtego świata, łatwoby mu przyszło poznać własną krew, w żyłach syna płynącą.

— Jesteś pan człowiekiem rozumnym rzekł do Kamila, słucham pana.

— Rad jestem uznaniu, ale co prawda nie wątpiłem o niem, wiem że nie brak panu rozsądku i że potrafisz korzystać, nawet nie ze zbyt przyjemnych okoliczności.

— Ah! nie zawstydzaj mnie pan zbytniemi pochwałami. Jestem bardzo wdzięczny za tak korzystne o mnie wyobrażenie, jednak przestrzegam pana, że uchodzę za trochę wymagającego, gdy idzie o zysk i że prawdopodobnie, zostawisz pan w mych rękach kilka piórek z twoich skrzydeł.

Za całą odpowiedź pan Langis poklepał ręką pugilares napełniony banktotami, Samuel wydobył z szuflady pudełko i otworzył je niezwłocznie.

— Oto dość kosztowna drobnostka, rzekł. Medalion jest szczerozłoty, a robota tej miniatury nader dokładna. To dzieło mistrza, koloryt wart rysunku. Usta oddane wybornie. Mengs lub Liotard nie potrafiliby lepiej wykończyć... Na jaką cenę szacujesz pan to arcydzieło?

— Jesteś pan większym znawcą w tej mierze. Oszacuj więc sam, ja z góry na wszystko przystaję.

— Oddam ten klejnot za 5,000 franków, to za bezcen.

Kamil chciał zaraz płacić.

— Jak panu pilno! ciągnął dalej Samuel. Wartość tego portretu nie ogranicza się na tem; jestem przekonany, że dla pana ma on jeszcze inną, gdyż sądzę żeś do szaleństwa zakochany w oryginale.

— Jak widzę pan chcesz mnie badać, rzekł Kamil rzucając nań surowe spojrzenie.

— Nie gniewaj się pan. W interesach jestem niezmiernie akuratnym. Ojciec mój sprzedawał wszystko po cenach stałych. Ja idąc za jego przykładem, nigdy nie opuszczam. Przyznasz pan, że co warte 5,000 franków dla przyjaciela, ma dwojaką wartość dla zakochanego. Drobnostkę tę, oddać mogę za 10,000 fr. Jak się panu podoba.

— Biorę ją, odparł pan Langis.

— Kiedy już o tem mowa, mogę pana objaśnić, że posiadam jeszcze inne przedmioty, mogące mu się na co przydać.

— Czy chciałbyś pan sprzedać mi swoje własne graty?

— Nie rozumiemy się; mówię tu o przedmiotach podobnych temu.

Wydobył z szafy czerwony kapturek i rozłożył go na stole.

— Otóż to przedmiot mający jak mi się zdaje niejaką wartość dla pana. Kolor piękny, gdybyś go pan widział na słońcu, zostałbyś olśnionym. Przyznaję że materyał jest pospolity, bardzo zwykły kaszmir, lecz jeśli pan raczysz obejrzeć go z bliska, uderzy cię miła woń jaki wydaje. Włosi nazywają ten zapach: *odor femminino.*

— A jaką cenę pańska taryfa nakłada na ów: *odor femminino?*

— Będę umiarkowanym. Puszczę rzecz całą wraz z jej wonią za 5,000 fr. To wcale niedrogo.

— Zapewne. A więc 10 i 5 razem 15,000 franków.

— Jeszcze chwilka. Zapłacisz pan wszystko razem, mam jeszcze inne rzeczy... Można by myśléć że podłoga parzy panu nogi, że nie możesz wytrzymać dłuższego czasu w tym pokoju.

— Przyznaję, że mi pilno opuścić ten... jak to nazwać?... ten sklep czy tę jaskinię.

— Jesteś pan jeszcze za młody; nietrzeba nigdy zbytnio się spieszyć; pośpiech nie raz z powowodował zapomnienie, którego się potem gorzko żałowało. Byłbyś pan odszedł zostawiając te oto dwa drogocenne dla ciebie świstki.

To mówiąc wydobył z pugilaresu dwa listy i rozłożył je przed sobą.

— Czy jeszcze dużo tych przedmiotów jest w pańskiem posiadaniu? zapytał Kamil. Lękam się, że będę zmuszony wrócić do domu po pieniądze.

— Ah! te dwa listy nie mogę za byle co puścić. Zwłaszcza drugi. Zawiera tylko dwanaście wierszy; ale pismo śliczne, angielskie! Przekonaj się pan jaki styl czuły i tkliwy. Dodaję że jest podpisany imieniem i nazwiskiem. Ah! panie, jakże panna Moriaz będzie zadowoloną gdy zwrócisz jej te bazgrotki! Jaką wdzięcznością przepełni się jej serce! Dla podniesienia własnej zasługi, powiesz pan iż odebrałeś mi je z orężem w ręku, że mnie zastrzeliłeś. Jakimże to wdzięcznym uśmiechem zapłaci ona twe bohaterstwo... Sądzę że uśmiech ten wart 10,000 fr. zarówno jak i medalion. Jedno warte drugiego.

— Jeśli pan chcesz wziąć więcej, to i owszem.

— Nie panie, jak mówiłem, u mnie są ceny stałe.

— A więc winieniem panu 25,000 fr. czy nie masz nic więcej do sprzedania?

— Niestety! to już wszystko.

— Przysięgasz mi pan?

— Więc pan przypuszczasz, że Samuel Brohl może mieć słowo honoru, że jego przysiędze można wierzyć?

— Masz pan słuszność, jestem jeszcze bardzo młody.

— Oto już i wszystko, rzekł wzdychając Samuel. Sklep mój jest źle zaopatrzony, zaczynał dopiero napełniać się, gdy niesprzyjające okoliczności wpłynęły szkodliwie na mój mały handel.

— Bah! pociesz się pan, odrzekł Kamil, spotkasz jeszcze w życiu inną równie dobrą sposobność, tak wysoki geniusz znajdzie zawsze odpowiednią dla siebie działalność. Byłeś nieszczęśliwym, los postara się nagrodzić to panu, a świat odda kiedyś sprawiedliwość twoim zdolnościom.

To mówiąc położył na stole dwadzieścia pięć banknotów, które Samuel przerachował z uwagą i ze swej strony oddał panu Langis medaljon, kapturek i listy.

Kamil powstał chcąc się oddalić.

— Panie Brohl, rzekł zwracając się jeszcze do Samuela: od pierwszej chwili naszego poznania, powziąłem wysokie bardzo wyobrażenie o pańskim charakterze, jednak rzeczywistość przeszła moje oczekiwanie. Rad jestem nad wszelki wyraz, że mi los pozwolił poznać pana i myślę, że pan powiesz to samo odwrotnie do mnie. Jednak opuszczając to miejsce, nie powiem ci: do widzenia.

— Kto wie? odrzekł Samuel zmieniając nagle wyraz twarzy i postawy. A potem dodał:—Jeśli pan lubisz niespodzianki, zostań przez chwilę jeszcze w tej jaskini.

Zwinął w ręku banknoty i poważnym bohaterskim ruchem, zbliżył je do płomienia palącej się świecy, gdy ogień ogarnął je zupełnie, wrzucił zwitek do kominka, gdzie po chwili została tylko garść szarego popiołu.

Odwróciwszy się do pana Langis rzekł:

— Czy teraz nie odmówisz mi pan satysfakcyi?

— Po tak pięknym czynie, nie mogę nic odmówić, odparł Kamil Uczynię panu ten zaszczyt.

— Tego właśnie chciałem, mówił Samuel. Jestem wyzwany, służy mi prawo wyboru broni. A odprowadzając do drzwi pana Langis, dodał: — Nie kryję panu że nawiedzałem często strzelnicę i że strzelam nader celnie.

Kamil skłonił się i wyszedł.

Nazajutrz, gdy chwilowo przytomność powróciła, panna Moriaz ujrzała przy łóżku leżący medalion na czerwonym kapturku. Od tej chwili wezwani lekarze oświadczyli że stan chorej znacznie się polepszył.

XII.

W sześć dni potem Samuel Brohl przejeżdżał przez Namur i Liége nie zatrzymując się nawet. Przybywszy dopiero do Akwisgranu, wysiadł w hotelu *Royal*, położonym tuż przy dworcu kolei i tam kazał sobie podać suty obiad i butelkę szampańskiego wina. Miał wyborny apetyt, był w wesołem usposobieniu, w sercu jego wrzała radość, w głowie szumiało. Zemścił się, wymierzył sprawiedliwość samemu sobie, usunął ze świata śmiałka, który z nim współzawodniczył. Prawda że Antonina Moriaz nie należała do Samuela Brohl, ale też nigdy należéć nie będzie, do Kamila Langis. Nad granicą francuzko-belgijską; na brzegu lasu, młody człowiek padł, ugodzony kulą w piersi, Samuel Brohl widział gdy padał na ziemię i słyszał gdy powiedziano: — Już umarł. — Mówią że Akwisgran jest miastem przedstawiającem nader mało przyjemności, że tam psy nawet nudząc się, proszą przechodniów, aby uderzywszy ich sprawili tem niejaką rozmaitość w jednostajnem życiu.

Samuel jednak nie nudził się ani chwili w czasie pobytu w ogrodzie Karola Wielkiego. Bezustanku miał przed oczyma brzeg lasu i leżącego bez życia młodzieńca, a widok ten sprawiał mu niewymowną radość.

Wypróżniwszy butelkę szampana, kazał sobie podać ponczu, a potem usnął snem twardym. Niestety przebudzenie nie było wcale wesołem. Miał nieszczęsny zwyczaj zastanawiania się nad wszystkiem a zastanowienie to zasmuciło go, zemścił się, lecz potem co? Myślał o pannie Moriaz, patrzył z żalem na te ręce, które puściły raz pochwycone wodze. Półgłosem wypowiedział wiersz niemiecki, który w tłomaczeniu znaczy:

„Postanowiłem pogrzebać sny moje i piosenki. Przynieście mi wielką trumnę. Czemuż ta trumna tak ciężką jest? bo wraz z marzeniem, złożyłem w niej miłość i cierpienia moje.“

Wypowiedziawszy wiersz ten, Samuel uczuł się jeszcze więcej przygnębiony i przeklinał poetów. Wiele, bardzo wiele zrobili mi złego, rzekł z goryczą sam do siebie. Bez nich byłbym pędził przy starej kobiecinie, spokojne dni, przetkane złotem. Przyszłość moja była zapewniona, oni mi zbrzydzili podobny zarobek. Wierzyłem ich słowom, dałem się omamić próżnem uniesieniom, oni mnie nauczyli dążyć ku rzeczom wyższym, gardzić błotem. I dokądże zaszedłem?

Samuel Brohl rozmyślając nad przeszłością swoją, myślał o przyszłości. Uznał że jego romansowe usposobienie, drogo opłacone, nic mu dotąd nie przyniosło. Z rozmyślań tych wynikło że razem

z Brutusem chciał zawołać:—O cnoto, jesteś tylko czczym wyrazem.

Miał zamiar udać się do Holandyi, by ztamtąd popłynąć do Ameryki. Cóż chciał czynić w Stanach-Zjednoczonych? Sam nie zdawał sobie sprawy. Myślał o rzemiośle, któreby mu najwięcej do gustu przypadło; lecz każde potrzebowało funduszu, choć na początek. Z łaski nieba i pana Guldenthal, którego łatwowierność miała narazić na znaczną stratę, Samuel nie był bez pieniędzy, ale pamiętał dobrze że tydzień temu własną ręką oddał na pastwę płomieni 25,000 franków. Uczuwał wielkie wyrzuty sumienia, powtarzał sobie, iż zemsta kupiona za cenę 25,000 fr. jest przedmiotem nader zbytkownym, którego biedak nie powinien sobie pozwalać. Zdawało mu się że to nie on, lecz inny jakiś człowiek, zapalił owe banknoty, że on był tylko narzędziem, którem kierowała jakaś inna siła. Nagle widmo z którem od tak dawna miewał ciągłe stosunki, ukazało się przed nim z uśmiechem na ustach. Samuel wyzwał je raz jeszcze, lecz miało to być po raz ostatni.

— Jesteś moim złym duchem, rzekł mu. Szaleńcze! tyś to mi kazał popełnić tę niedorzeczność. Tyś zapalił świecę, tyś wsunął w dłoń moją banknoty, tyś ręką kierował, tyś trzymał zwitek po nad płomieniem. Ten bohaterski postępek jest twojem dziełem; to nie ja, to ty zapłaciłeś tak drogo przyjemność, jaką jest zadziwienie, a następnie zgładzenie ze świata tego, kto nas znieważył. Przeklęty niech będzie dzień w który przybrałem twe imię, w który powziąłem niemądrą myśl, stać się twoim sobowtórem. Zostałem Polakiem, nie myśląc o jutrze; z wszystkich ludzi na świecie, tyś był najmniej zdolny do zrobienia majątku, małpowałem wzór niefortunny, który mnie do niczego nie doprowadził. Ablu Laryński, rozwiązuję spółkę naszą, zamykam raz na zawsze nasz dom handlowy i kładę klucz pod jego progiem. O ty mój wielki Polaku, zwracam ci twój tytuł, imię twoje, a z niem wszystko coś mi dał kiedykolwiek: twą dumę, dążności, skrupuły, sposób myślenia i twoje przekonania.

Tak Samuel Brohl żegnał szlachetnego Abla Laryńskiego, który odtąd mógł spokojnie spoczywać w swym grobie, nie lękając się, aby będąc umarłym, zostać znieważonym przez żyjącego człowieka. Jakież nazwisko przybrał teraz Brohl?

Na przekorę losowi wziął on imię najmniej pokaźne, postanowił nazywać się: Kicks, jak niegdyś matka jego, co w tłomaczeniu znaczy: zamach nieudany.

Zmartwienie Samuela nie miałoby granic gdyby się dowiedział że Kamil Langis, należał jeszcze do świata żyjących. Kamil przez dwa tygodnie znajdował się między życiem a śmiercią, lecz w końcu zdołano wydobyć kulę z piersi jego. Pani de Lorcy niezwłocznie przybyła do miejsca gdzie leżał raniony i dając mu dowody macierzyńskiego przywiązania, nie opuściła go ani na chwilę w ciągu choroby, w końcu zaś z radością odwiozła do Paryża.

Ukrywano starannie przed panną Moriaz wiadomość o pojedynku, gdyż stan jej zdrowia budził jeszcze obawę. Odzyskawszy trochę siły, wpadła w głęboki smutek. Nie mówiła nigdy o minionych zdarzeniach i nie pozwalała nawet wspominać o nich przy sobie. Zawiodła się, a zawód ten zostawił jej smutne wrażenie, połączone ze strachem. Była przekonaną że dla niej w tem życiu, nic już nie pozostało, jak tylko wspomnienia i samotność.

W końcu listopada pan Moriaz chciał powrócić do Paryża. Antonina objawiła mu chęć pozostania przez zimę w Cormeilles, ludzkie twarze straszyły ją teraz. Pan Moriaz przedstawił jej ostrożnie, że nie był to zamiar rozsądny.

— Czy chcesz przez całe życie nosić żałobę po nieznajomym? rzekł, bo wszakże nigdy nie widziałaś człowieka, którego twe serce ukochało. I cóż mój Boże, omyliłaś się, nic więcej. Czy jest na świecie tym, nie powiem już jedna kobieta, ale nawet jeden członek Akademii, któryby choć raz na miesiąc nie omylił, lub nie zawiódł się na czem? I właśnie wskutek tych nieudanych doświadczeń, nauka postępuje co raz dalej.

W końcu usiłował przedstawić jej, że jeśli omyłka smutną jest rzeczą, to stokroć smutniejszą być musi, obawa narażenia się na nowe zawody, gdyż jak dowodził profesor, lepiej błądzić, niż wcale nie postępować.

Gdy skończył mówić Antonina rzekła:

— Nikomu już nie wierzę.

— Co, nawet zacnemu chłopcu któremu zawdzięczasz odzyskanie twego portretu i listów?

— O kim chcesz mówić ojcze? zawołała.

Opowiedział jej scenę, która miała miejsce w mieszkaniu Samuela Brohl, nie wspominając jednak o następstwach.

— Ah! to dobrze, to bardzo dobrze, rzekła, nie wątpiłam że Kamil jest prawdziwym moim przyjacielem.

— Przyjacielem? Czy jesteś pewną że on dla ciebie ma tylko uczucie przyjaźni?

I tu pan Moriaz opowiedział jej resztę. Antonina zamyśliła się głęboko. Nagle otworzono drzwi salonu i w progu stanął Kamil. Zapytawszy o jej zdrowie, pan Langis oświadczył pannie Moriaz, że w skutek silnego zaziębienia on także był chorym i że mimo powrotu do zdrowia doktór wysełał go na zimę do Sorento.

— Jest to podróż którą bardzo pragnę odbyć, rzekła Antonina. Czy zechciałbyś zabrać mnie z sobą?

Kamil ukląkł przed nią i przez chwilę oczy ich tonęły w sobie, ręce połączył gorący uścisk. Źrenice Antoniny wyrażały całą myśl ukrytą w wyrzeczonych przez nią wyrazach.

Na to weszła panna Moiseney, a ujrzawszy ich stanęła jak wryta.

— Jesteś pani bardzo zdziwioną? zapytał pan Moriaz.

— Nie tak znów bardzo jak pan sądzisz. Nie śmiałam wcześniej tego wypowiedzieć, ale zawsze myślałam... Tak zawsze byłam przekonaną, że się to tak skończy.

— Niech cię Bóg błogosławi, o nieomylna! zawołał pan Moriaz, widzę że jej nigdy nie zdołam poprawić.

Nie mogliśmy dowiedzieć się dotąd, co robi w Ameryce Samuel Brohl. Czy czekając lepszych czasów poprzestawał na skromnym jakiem zajęciu? Czy znów szukał szczęścia w bogatem ożenieniu? Czy też stał się reporterem gazety *New-York Herald*, lub policyantem w jednym z północnych stanów? Czy marzył iż zostanie kiedyś prezydentem świetnej gwieździstej rzeczypospolitej? Dotąd żadne amerykańskie pismo nie wspomniało o nim. Awanturnicy są to istoty niknące i zjawiające się najniespodzianiej; należą oni do rodziny nurków, kończą jednak najczęściej katastrofą. Fala wyrzuci niekiedy na wierzch topielca, potem go znów pochłania i niesie w bezdeń. Usłyszano plusk wody, połączonej z krzykiem tonącego, w końcu tylko przytłumione westchnienie i Samuel Brohl istnieć przestał.

Przez kilka dni następnych zapytywano czy imię jego było: Brohl, Kicks, czy Laryński, w krótce jednak zaczęto mówić o czem innem i wspomnienie o nim, stało się pastwą wiekuistego milczenia.

OBRAZ MATEJKI

na tegorocznej wystawie w Paryżu.

Wiktor Hugo nazwał wiek XIX wiekiem proroków; pomimo całego uszanowania naszego dla znakomitego pisarza francuzkiego, uważalibyśmy raczej za właściwe nadać bieżącemu stuleciu miano, wieku historyków. W ostatnich kilkudziesięciu latach pojawiło się wielu pracowników na tej niwie. Nietylko wykryto mnóstwo szczegółów dotyczących ubiegłych czasów; nietylko zdołano opowiedzieć wypadki wedle rzeczywistego ich rozwoju, ale potrafiono wniknąć w ich myśl rzeczywistą, i oznaczyć prawidła łączące ścisłym węzłem teraźniejszość z przeszłością.

Dosyć jest przejrzeć na półkach bibliotek lub składach księgarskich, prace dokonane w tym kierunku, aby podziwiać wytrwałość i geniusz ludzki, zdolny z pewnej liczby pozostałych zabytków, wytworzyć całokształt dziejowy pełen życia i prawdy.

Na nieszczęście artyści *francuzcy*, nie stoją wcale na równi z pisarzami historycznemi. Duch ubiegłych czasów ujęty został słowem, ale nie znalazł swej cielesnej powłoki pod pędzlem malarza.

Tegocześni artyści nadsekwańscy nie śmiejąc stawać na wyżynach myśli historycznej, zwracają się ze szczególnem upodobaniem do wypadków podrzędnego znaczenia, przenosząc je pracowicie na płótno. Wprawdzie niepodobna malarzowi narzucać ten lub inny przedmiot, należy mu zostawić zupełną swobodę wyboru; w każdym jednak razie rodzaj dzieła jest niewątpliwą wskazówką sił pracownika.

Pisząc to mamy przedewszystkiem na myśli obraz pana Bastiene Lepage, mający wyobrażać niby pierwsze widzenie Joanny d'Arc! Zaiste nie brakło artyście na odwadze.

Wielu próbowało sił swych na tem polu, ale prócz wielkiego posągu, który mieliśmy sposobność oglądać na głównym placu w Orleanie, były to po większej części prace chybione jak najzupełniej. W obrazie Bastiena Lepage spostrzegamy młodą wiejską dziewczynę, stojącą po za małym domkiem w ogrodzie, zarosłym dzikiem drzewem i ogrodowizną. Jest to sobie włościanka jak każda inna bez wyższego namaszczenia, które ją tak wybitnie na widowni dziejowej postawiło. Legenda dziejowa przystraja ją w nadzwyczajną siłę natchnienia, artysta więc powinien wytworzyć taką a nie inną, połączyć prostotę z największą szlachetnością, a przyozdobić wszystko ową myślą rzucającą blask na całą postać. Otóż tej trudności nie potrafił przełamać ani jeden malarz, ani jeden rzeźbiarz. Wspomniony posąg w Orleanie nie przedstawia wiejskiej dziewczyny rozmyślającej pod wpływem natchnienia o nieszczęściach ojczyzny, ale dziewicę-rycerza, idącego na odsiecz oblężonemu miastu; z pełną wiarą w nieomylne zwycięztwo.

Dosyć jednak spojrzeć na posąg aby spostrzedz że nie jest to zwykła kobieta przebrana po męzku, która przezwyciężywszy słabość niewieścią staje w szeregach walczących. Nie jest to wódz w obrotach wojennych szukający środka ratunku, ale jest to istota przekraczająca zwykłe warunki ziemskie, i biorąca natchnienie z krainy nieprzystępnej dla wszystkich. Układ głowy, wyraz twarzy, są obmy-

ślone z niepospolitym talentem. Bohaterka zdaje się nie zwracać najmniejszej uwagi na otaczające ją przedmioty, miecz spuszczony ku ziemi zapowiada pewne lekceważenie dla narzędzi zniszczenia, cały jej duch skupiony na wewnątrz, jakby obierała tajemnicze wskazówki dalszego postępowania.

W obrazie pana Bastiena Lepage nie dostrzegamy nic podobnego.

Wiejska dziewczyna stojąca w ogrodzie, zwraca na siebie uwagę jedynie tylko oznakami widocznego obłąkania w jej oczach.

Bezstronni krytycy paryzcy, nie tają zupełnie przed samymi sobą i przed publicznością, smutnego stanu malarstwa historycznego i religijnego we Francyi. Dla pociechy jednak ukazują piękne portrety, krajobrazy i nareszcie opracowania dotyczące życia współczesnego, jako dowód pełnego rozwoju sztuki malarskiej. Niewątpliwie w działach wymienionych można dostrzedz wiele pięknych okazów, wiele talentów obiecujących, ale utwory tego rodzaju są pewnego rodzaju zdawkową monetą, i nie stanowią bogactwa sztuki, ta jak nowelle, i drobne wierszyki nie stanowią bogactwa literatury. Miłość jednak własna czy osobista czy narodowa, skoro nie jest ujętą w należne karby, zaciemnia umysł, i nie dozwala patrzéć na przedmiot z właściwego stanowiska. Prawdopodobnie pan Ferdynand Brunetière pod tym wpływem pisał swój artykuł o sztukach, zamieszczony w jednym z ostatnich numerów Revue des Deux Mondes.

Sięga on wprawdzie dosyć dalekiej epoki, rozbierając prace krytyczne Diderota, ale łatwo zrozumiéć utajoną jego myśl, mającą na celu zapewnić dzisiejszym malarzom francuzkim pierwszeństwo w świecie sztuki, chociaż nie mają do tego najmniejszego prawa.

Bezporównania prawdziwszem wydaje nam się opracowanie pana Karola Bigot, zamieszczone w jednym z tutejszych przeglądów tygodniowych. Może ona posłużyć za wzór dla wszystkich krytyków, pod względem głębokości rozbioru i niepospolitych zasobów wiedzy. Stan obecny malarstwa we Francyi jego niedostatki i środki zaradcze, są wytłomaczone nieomal na podstawie całego rozwoju cywilizacyi. Autor nie przebiega wcale po wierzchołkach czasów obecnych, ale sięga do źródeł oddalonej przeszłości. Wedle jego zdania, jedna tylko Grecya starożytna i Włochy w epoce odrodzenia potrafiły uprawiać jednocześnie wszelkiego rodzaju sztuki, a zarazem prace naukowe i literackie. Wieczna chwała spływa z tego względu na te ludy i spływać będzie do końca wieków. Inne narody europejskie objawiały zdolności więcej wyłączne.

Niemcy z wszelką pewnością byliby zajaśnieli sławą muzykalną, chociażby nawet byli pozbawieni dawnych wzorów greckich i rzymskich; podobnież Holendrzy byliby wynaleźli sztukę malarską, gdyby takowa nie istniała.

Francya od początkowego swego zawiązku, zwróciła wszystkie usiłowania do wytworzenia języka i literatury oryginalnej, na którem to polu dała dowody niepospolitej twórczości.

Język jej stał się prawie powszechnym, a prace jej pisarzy stanowiły przez długi czas dźwignię moralną dla wszystkich ludów bez wyjątku. Siły Francyi zwrócone w jednym kierunku, nie objęły rozmaitych gałęzi sztuki, miała ona wprawdzie w różnych czasach znakomitych malarzy, muzyków, rzeźbiarzy, ale ostatecznie nie potrafili wytworzyć szkoły oryginalnej, i byli niczem więcej, tylko utalentowanymi naśladowcami.

Zaiste, należy się wielka zasługa panu Bigot za śmiałe i szczere wypowiedzenie prawdy.

W dalszym ciągu swej pracy zwraca uwagę na błędne zasady dawniejszej edukacyi we Francyi, jako zwróconej wyłącznie w kierunku literackim. Pojęcia estetyczne w umysłach młodzieży rozwijane były jedynie na tej drodze; zbywało na ogniskach artystycznych, rozsiewających na ogół narodu właściwe sobie światło, i naukową znajomość piękna. Naród tak jak każdy pojedynczy człowiek może kształcić się, i wyrównać wiele niedostatków za pośrednictwem odpowiedniej pracy. Nie chodzi tu o to aby rasa francuzka miała natychmiast wydać Mozarta lub Rembrandta ale może zdobyć możność zrozumienia utworów tych mistrzów. Z kolei wyda ona gieniusze w różnych gałęziach sztuki, zdolnych okryć cały naród blaskiem niezatartej nigdy sławy.

Przeciwko życzeniu w ten sposób stawionemu, nie mamy nic do nadmienienia, ponieważ każdy człowiek z rozumem i sercem, jak powiedział wielki poeta: chciałby swój naród dźwignąć, uszczęśliwić, chciałby nim cały świat zadziwić. Nie trzeba jednak pragnienia tego rodzaju, posuwać aż do niesprawiedliwości względem innych ludów. Tymczasem w opracowaniu pana Bigot, widać nawet zanadto pewną niechęć względem artystów zagranicznych. Przyznaje on im wprawdzie prawo wystawiania swoich utworów, niby nie gani przyznawanych im nadgród, ale szlachetne w tej mierze wyobrażenia zmienia zupełnie w dalszym wątku swej pracy. Słuszną jest rzeczą, mówi on, zawsze i w każdym wypadku robić różnicę między rodakami a cudzoziemcami. Kosmopolityzm przedstawia bardzo wiele niedogodności. Przybysze zagraniczni nie ponoszą żadnych ciężarów narodowych, obojętną jest dla nich sława Francyi lub jej poniżenie; są oni u nas ptakami przelotnemi i nic więcej. Ci co od wielu lat mieszkają we Francyi, mogą każdego czasu naturalizować się, i z największą radością uznamy ich za swoich. Innych przyjmijmy z należnem uszanowaniem, ale uważajmy ich za gości i nic więcej tylko za gości. Zwiedzającym wystawę pokażemy co zrobiła ojczyzna dla sztuki a co zrobiła zagranica.

Cały ten ustęp dla osób niewtajemniczonych w stosunki miejscowe jest zupełnie niezrozumiałym. Cóż bowiem Francya zrobiła więcej dla artystów zagranicznych, prócz przyjęcia ich prac na wystawę, i w razie danym udzielenia nagrody? Czyż kiedykolwiek goście zagraniczni mieli większe przywileje od krajowców? Zkąd ta gorycz w krytyku paryzkim posunięta prawie aż do zniewagi?

Oto zabolało serce pana Bigot pod wpływem myśli że Francya na polu sztuki wyprzedzoną została przez inne ludy, nie mające nic wspólnego ani z Włochami ani z Holandyą. Każe więc przyjmować cudzoziemców jak gości, ale nic więcej tylko jak gości, a przedewszystkiem pamiętać o własnych obywatelach.

Słowa te nie były rzucone marnie, znawcy przysięgli zrozumieli aż nadto dokładnie ich znaczenie, zrozumiały również i redakcye pism paryzkich, zachowując o pracach zagranicznych uporczywe milczenie.

Wśród takiego to stanu malarstwa i krytyki we Francyi, pojawiło się na wystawie dzieło wielkiego naszego mistrza Jana Matejki.

Bitwa pod Grunwaldem należy do tych prac pomnikowych, które z każdem nowem pokoleniem nabierają coraz większego znaczenia

Potrzeba prawdziwego gieniuszu aby wykonać dzieło podobne.

Wszystkie siły możliwe malarza, poety, historyka; archeologa, skupiły się w jednej osobie, zdolnej uzmysłowić najważniejsze zdarzenie dziejowe średnich wieków. Idea polska federacyi, walczyła z ideą zaborczą, wyobrażoną ówcześnie przez germanizm. Zakon krzyżowy był tylko przednią strażą rycerstwa europejskiego, uważającego zdobycz, feudalizm, i płynącą z tego względu niewolę zwyciężonych, za szczyt porządku społecznego. Dźwignięcie sztandaru odmiennego, przez łączenie się bratnie ludów sąsiednich, oburzyło do najwyższego stopnia ówczesne potęgi zachodu. Inne plemiona słowiańskie podbite lub zdemoralizowane, podobny los miał spotkać i Polskę.

Niemcy nie chcieli znać żadnego współzawodnika, zamierzając siłą zniweczyć wszelki opór, i szeroko rozpostrzéć się ku wschodowi. Bitwa pod Grunwaldem wstrzymała nietylko postępujący germanizm, ale nadto ocaliła nową zasadę stosunków międzynarodowych. Z tego stanowiska patrząc na przedmiot, obraz pana Matejki jest prawdziwą epopeją dziejową i trzebaby podobno sięgnąć aż do Iliady Homera, aby znaleźć poemat równej doniosłości i znaczenia. Z wyjątkiem działu religijnego, niewiele napotykamy prac malarskich, które pod względem wielkości przedmiotu, możnaby stawić obok bitwy pod Grunwaldem. Wypowiadamy najsumienniejsze przekonanie: dzisiejsze pokolenie, mówiąc o ogóle nie wspominając o wyjątkach, nie dorosło jeszcze aby zrozumiéć w całej pełni obraz tego znaczenia.

Na szczęście nie jest to pierwsze i nie ostatnie dzieło Matejki.

Prawdziwe nowelle malarskie, zawieszone bez liku w ogromnym gmachu wystawy paryzkiej wyglądają w obec bitwy pod Grunwaldem, jak twory belletrystyczne, wobec dzieł pomnikowych będących wytyczną dla przyszłości.

Jacy jednak pracownicy taka i krytyka. Sprawozdawcy paryzcy uważający przedmiot obrazu za okoliczność podrzędną, zwracający przedewszystkiem uwagę na ilość powietrza, czyż byli lub czy są w stanie ocenić należycie pomnikowe dzieło naszego rodaka? Znawcy przysięgli, wynagradzający medalem honorowym dokładne przechowanie w pamięci kursa anatomii malarskiej, dali zbyt żywe świadectwo swego wykształcenia i estetycznego smaku, aby można ich sądem zajmować się wiele. Inni milczeli systematycznie, ponieważ cudzoziemcom prócz gościnności objawionej w przyjęciu ich pracy na wystawę, nie należy się nic więcej.

Pan Jan Matejko wykonał olbrzymie swe dzieło, z sumiennością przynoszącą mu największy zaszczyt.

Witold litewski i wielki mistrz krzyżacki Ulryk, są głównemi postaciami na obrazie.

Z wyrazu twarzy ich można wyczytać dzieje tych dwóch ludzi i odgadnąć przy kim zostanie zwycięztwo. Witold jest typem ludu młodzieńczego, mało jeszcze rozwiniętego pod względem cywilizacyjnym ale pełnego życia i sił niezużytych zapowiadających świetną przyszłość.

Postać szczupła, wysmukła, twarz ogorzała, oko pełne ognia, są świadectwem nieomylnem namiętności miotających sercem, które jako skierowane wyłącznie do walki z nieprzyjacielem, nie osłabiły ani ciała ani umysłu, ale wytworzyły prawdziwego rycerza, gotowego ponieść śmierć raczej, aniżeli nagiąć głowę pod jarzmo niewoli Naodwrót znowu z postaci Ulryka Jungengen, można wyczytać blizki upadek zakonu krzyżackiego. Wielki mistrz jest typem człowieka przeżytego, dźwigającego zbroję więcej z nałogu i ze względu na zajmowane stanowisko, aniżeli z poczucia rycerskiego. Wyczerpał widocznie wszelkie uciechy i wszelkie rozkosze ziemskie, znudzonego już nic nie zajmuje, ani los zakonu ani własna jego przyszłość.

W tym stanie umysłu i serca strona materyalną

wzięła przewagę nad duchową; ociężałość i bezwładność widnieje w nim wyraźnie w chwili nawet największego niebezpieczeństwa, nie umie się zdobyć na czyn energiczny i trzyma bezwładnie rapir w ręku, jakby nie miał siły do jego podźwignięcia.

Opisane dwie osobistości nadzwyczajnie charakterystyczne, pochłaniają zupełnie uwagę patrzących.

(d. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— Donoszą z Zakopanego że Siemiradzki i Tissot odbyli wycieczkę do Morskiego Oka, w towarzystwie dwudziestu pięciu osób, pod wodzą króla tatrzańskiego, doktora Chałubińskiego. Następnie urządzono przejażdżkę do doliny Kościelickiej, w której wzięło udział przeszło 300 osób; damy stanowiły większość. Całe towarzystwo wyruszyło z Zakopanego na 78 wozach i tak zwanych budkach góralskich, pokrytych płótnem, na godzinę przed Siemiradzkim, aby przybywszy do doliny zastał już w niej wszystko przygotowane na jego przyjęcie.

Gdy sławny nasz malarz wszedł do Doliny Kościelickiej, powitał go krótkiem i serdecznem przemówieniem doktór Alth, wiceprezes Towarzystwa Tatrzańskiego, i wręczył mu album widoków tatrzańskich, z podpisami wszystkich członków Zarządu, na pamiątkę bytności jego w Zakopanem, poczem odśpiewano kantatę; w śpiewie tym przyjęli udział obecni panowie i panie. Po skończeniu śpiewu, w obranem na ten cel miejscu, z desek wziętych z tartaków urządzono stoły, które przybyłe rodziny ponakrywały zabranemi z sobą obrusami. Nastawiono samowary i przybyli chodzili od stołu do stołu, witając znajomych. Wnoszono rozmaite zdrowia, towarzystwo tatrzańskie ofiarowało gościom kilka beczułek wina węgierskiego i kilka beczek piwa, a dla Siemiradzkiego i jego towarzyszy, wykwintne śniadanie. Po posileniu się, całe towarzystwo udało się doliną do skały zwanej „Pisaną“ przechodząc koło bramy Kraszewskiego pp. Eliasz i Świerz zaprosili Siemiradzkiego aby podpisał swoje nazwisko i położył datę na przeznaczonem miejscu. Poniżej przygotowano miejsce do podpisu p. Wiktora Tissot. Za powrotem na miejsce w którem spożywano śniadanie, muzyka zagrała i górale zaczęli tańczyć swoje tańce góralskie. Całe towarzystwo było w nadzwyczaj miłem usposobieniu; panie i panowie zaczęli w altanie tańczyć mazura, do którego dał się wciągnąć i p. Wiktor Tissot. Po 5-ej wieczorem dano hasło i cały tabór wyruszył z powrotem do Zakopanego.

— W Zakopanem odbył się także obiad na cześć d-ra Zyblikiewicza, prezydenta Krakowa, na który zapisało się sześćdziesiąt kilka osób: wszyscy znakomitsi goście bawiący w Zakopanem, wzięli udział w tej uczcie. Pierwszy toast na cześć d-ra Zyblikiewicza wniósł dr. Chałubiński, następnie dr. Rostafiński wniósł zdrowie d-ra Chałubińskiego, kreślając przytem jego pracowite, pełne zasług życie. Przemówienie zakończył temi słowy:

„Podniosłszy dodatnie strony tego zasłużonego męża, niech mi wolno będzie wykazać i ujemne. Dr. Chałubiński napisaniem artykułu „Sześć dni w Tatrach“ w Roczniku Towarzystwa Tatrzańskiego, pokazał jak umie władać piórem, przyniesmy mu więc, panowie, orle pióro, aby przelał na papier swoje doświadczenie i swoją wiedzę, dla nauki i pożytku młodego pokolenia.“

Wśród licznych toastów, Tissot wzniósł toast za pomyślność Zakopanego i Towarzystwa Tatrzańskiego, na cześć prostoty i swobody panującej w Zakopanem, gdzie przybyły staje się lepszym w towarzystwie Polek, gdzie panują niekłamana gościnność i serdeczność. Toast ten wypowiedziany w tonie wesołym, bardzo miłe wywarł wrażenie.

Autor „Voyage aux pays des milliards“ ogólnie się podobał; z Siemiradzkim poznał się dopiero w Wiedniu, a całe zachowanie się jego odznacza się skromnością i uprzejmością. Mistrz nasz na każdym kroku robił mu honory należne cudzoziemcowi w kraju słynnym z gościnności, i przedstawiał go wybitniejszym naszym osobistościom.

— Kobiety angielskie nie zasypiają swej sprawy, pracują niezmordowanie nad obaleniem wszelkich praw i kombinacyj, przykuwających je i trzymających dotąd na drugorzędnem stanowisku w społeczeństwie. Dwie z pań wchodzące w skład komissyi szkolnej, zostały przyjęte na członków nowego towarzystwa budowy domów dla klas roboczych,— a w Irlandyi, gdzie wszelkie przesądy daleko trudniej niż gdziekolwiek dają się wykorzenić, po raz pierwszy dwie kobiety zostały zaproszone do przyjęcia udziału w uroczystościach masońskich. Za powód podają, że dotąd kobiety bardzo słabe mają pojęcie o ważności stowarzyszeń wolnych mularzy, i dla tego często bardzo odwodzą mężów od przystąpienia do nich lub przyjmowania udziału w zebraniach i obchodach. Tak więc zapraszanie kobiet do przyjmowania udziału w uroczystościach, będzie bardzo korzystne dla stowarzyszenia, raz iż obali nieuzasadnione przesądy, a powtóre że doda życia zebraniom. Trzeba wiedzieć iż właśnie to w Irlandyi miała miejsce owa głośna kiedyś przygoda niejakiej lady Wilmot, która schowała się w szafkę zegarową dla podglądania wolnych mularzy podczas obchodu ich wielkich tajemnic, i dla ocalenia życia, jak jej powiedziano, musiała przystąpić do stowarzyszenia i przebyć wszystkie te straszne próby, które według twierdzenia wtajemniczonych, tak niewysłowioną trwogą i przerażeniem przejmują nowicyuszów. Jak niesie tradycya, biedna lady Wilmot skutkiem ogromnego przestrachu dostała pomieszania zmysłów, a obłąkanie jej tem się głównie objawiało iż zachowywała ciągłe niczem nieprzerwane milczenie, i nigdy ani jedno słówko z ust jej nie wyszło.

W Kings-College otworzone zostały kursa Sztuki dekoracyjnej otóż władze miejscowe uznały poniekąd równość kobiet w obec sztuki, gdyż postanowiono że raz na tydzień dopuszczone będą na wykłady malowania na porcelanie, sztycharstwa i rzeźby na drzewie, a nawet rolnictwa, topienia metali i bicia monety.

— Przed miesiącem wyszedł z druku w Londynie i zasłużonem cieszy się powodzeniem, nowy romans p. Hamilton Aïdie; p. n. *„Poët and Peer“* (Poeta i par). Bohater „par i poeta“ jest to młody lord Athestane, który jak wielu młodzieńców szlacheckiego rodu, jest zapalonym radykalistą. Jest parem Anglii, ale niewiele to sobie ceni, i pragnie sławę i stanowisko w świece zawdzięczać jedynie swemu poetyckiemu talentowi. Z rozpaczy że ukochana przez niego dziewica odmówiła mu swej ręki, ożenił się z biedną guwernantką która go ubóstwiała ale jest mu najzupełniej obojętną. Naturalnie cicha i spokojna miłość żony, nie może zadowolnić jego rozgorączkowanego, namiętnego serca, chcąc więc zapełnić próżnię która na każdym kroku uczuwać mu się daje, otacza się towarzystwem pochlebców i pochlebnic—regularnie zorganizowanem dla obracania kapitałem wzajemnej adoracyi. Osoby składające to dziwne otoczenie młodego lorda, są żywcem wzięte z życia. Jest tam emancypowana dama która proponuje mu aby ją wykradł i udał się z nią w podróż do Ameryki, gdzie pragnie miewać odczyty o rozwodzie; druga dręczona manią aby wszystkie kobiety przywdziały strój grecki, jest także krytyk unoszący się i uznający za ozdobę wystawy, za perłę czystej wody, obraz przedstawiający *Zgniłą główkę kapusty, rzuconą na śmietnik*, pod pozorem, że ona przedstawia wyborne „poezyą zgnilizny.“ Dla znających towarzystwo londyńskie, osoby te wprowadzone do romansu, są nader trafnie oddanemi portretami. Matka bohatera tej zabawnej powieści, jest to doskonale odtworzony typ damy, dręczonej nieustanną obawą, aby wczemkolwiek nie uchybić konwenansom, jakie winna zachowywać przez wzgląd na wysokie swoje stanowisko. Jest to powieść bardzo zabawna i z wielkiem napisana talentem.

Nowe wydawnictwa.

Ze wspomnień żołnierza, napisał Władysław K. Zieliński, nakład Filipa Sulimierskiego redaktora i wydawcy Wędrowca. Autor służył w wojsku austryackiem od r. 1855, opisuje więc kampanią z Francyą, którą odbył już w oficerskim stopniu. Cena rs. 1.

Dziewiąta fala, powieść po rossyjsku napisana przez Grzegorza Danilewskiego, a przełożona na język polski przez Józefa z Sieniawy. Części trzy, nakład księgarni Teodora Paprockiego i spółki.

Prace dramatyczne Zygmunta Sarneckiego tom pierwszy obejmuje: Zemsta pani hrabiny, Febris aurea, Nad ranem.

Zawiadomienia.

W odpowiedzi na zapytanie Korespondentów, podaję do wiadomości, że pan *Jan Hennel mechanik* zamieszkały *w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej № 63*—w pobliżu Ogrodu Saskiego, przyjmuje do naprawy maszyny do szycia wszelkiej konstrukcyi. Nadsyłane z prowincyi winny być pomieszczone w pudłach, okryte płótnem i dobrze opakowane sianem, aby zbyt wielkiemu w podróży nie uległy wstrząśnieniu; pedałowe zaś należy odśrubować od stołu i same nadsyłać—przytem uprasza się o adres wyraźnie napisany.

Za dobre wykonanie naprawy, umiarkowaną cenę i uczciwy stosunek z interesantem, poręcza

J. K. Gregorowicz
Redaktor Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 2 Сентября 1880 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 38 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Wraz z przebudzeniem wróciła pamięć o doznanem nieszczęściu, a smutek mój powiększyła jeszcze wiadomość że ten nieznany mi dotąd doktór jest moim kuzynem, i że razem z nim miałam opuścić natychmiast Saltpool. Wydawało mi się to okrucieństwem że mnie tak nagle odrywają od matki, zanim jeszcze pochowano jej zwłoki, ale byłam jeszcze zbyt młodziutka, abym się mogła opierać woli osób mających nademną jakąś władzę.

Mistress Mitchel zapakowała moje rzeczy, ucałowałam moich małych przyjaciół, pożegnałam z rozpaczliwą boleścią zwłoki mej biednej matki, i wsadzono mnie do kabryoletu który nas odwiózł do stacyi.

Odbyłam następnie długą podróż, w ciągu której mój opiekun czy towarzysz, wtenczas tylko przerywał milczenie gdy chciał zapytać czy mi nie zimno, czy czego nie potrzebuję, lub czy siedzę wygodnie; pomimo to czułam że się do niego przywiązuję, jako do jedynej istoty na świecie otaczającej mnie swą opieką.

Przybyliśmy nakoniec do gwarnego i ludnego miasta, i wsiedliśmy do pięknego powozu. Zadziwienie i smutek taki zamęt sprawiały w mym umyśle, że nie umiałam sobie zdać sprawy czy to sen czy to rzeczywistość, i nie wiedziałam zupełnie co widzę i co myślę. Zatrzymaliśmy się przed domem który mi się wydał bardzo wspaniałym; doktór wysiadł aby rozmówić się z kimś tam mieszkającym, a ja przez kilka minut zostałam sama w powozie, potem wrócił, dopomógł mi wysiąść i wprowadził do pokoju w którym znajdowała się jakaś, w średnim wieku pani. Czekała na nas, a pomimo to w oczach jej malowało się widoczne zadziwienie. Twarz tej pani nie miała przyjemnego wyrazu, a uśmiech którym mnie powitała podając mi rękę wydał mi się wymuszonym, dla tego też przysunęłam się mimowolnie do gentlemana który mnie przywiózł z sobą.

— Jest to siostra moja, Teodoro, rzekł wtenczas, a zarazem twoja kuzynka. Muszę zostawić cię z nią na kilka godzin, ale będę się starał wrócić jak najprędzej. Zajmij się tem dzieckiem Maryanno, i pomyśl aby miało wszystko co trzeba.

— Doprawdy, Ulryku, odpowiedziała z wyrazem niezadowolnienia, ktoś, słysząc cię mógły pomyśléć że nigdy nie przyjmowałam gości w twoim domu.

— Oddam kilka najpilniejszych wizyt, rzekł znowu, a potem znowu pojadę do Trampton. Jeźli wrócę póżno, Teodora pozostanie tu na noc.

Zwróciła na niego pytające spojrzenie, ale nie zważając na to zwrócił się ku drzwiom, i wtenczas spojrzawszy przypadkiem na mnie, zobaczył moją twarz zalaną łzami i błagającą zwróconą ku niemu. Zatrzymał się, potem zawrócił się i rzekł biorąc mnie za rękę:

— Wrócę o ile będę mógł najprędzej. Będziesz czekać na mnie grzecznie i cierpliwie, wszak prawda?

— Tak, tak, przyrzekam.

Tak mi jednak było przykro rozłączyć się z nim, że trzymałam go ciągle za rękę. Przypomniało mu to zapewnie że jestem sama jedna świecie, że nie mam żadnego przyjaznego sobie serca; bo pochylił się ku mnie, i złożył na mem czole ojcowski pocałunek. Zaczęłam znów płakać bo mi to przypomniało pocałunki matki, a kiedy uspokoiłam się trochę byłam już sama tylko z tą panią którą on nazywał Maryanną, siedząc w drugim końcu pokoju wpatrywała się we mnie swemi czarnemi surowemi oczyma. O! jakże mi się wydała nieznośną zaraz od pierwszego wejrzenia.

Więc ten gentleman był to *kuzyn Ulryk*: Nie przyszło mi jeszcze na myśl aby go zapytać o jego nazwisko, ani też w jakim stopniu jesteśmy z sobą spokrewnieni.

VI.

W jaki sposób doktór Ford został wynagrodzonym za swą dobroć.

W tym dniu doktór Ford mógł zaledwie odwiedzić najcięźej chorych pacyentów. Wrócił do Rockborough już po południu; musiał przedstawić siostrze Teodorę, przebrać się, posilić, rozmówić się z panem Austin i doktorem Eliot, którym powierzył swych chorych przed wyjazdem, następnie odbył kilka konsyljum, i odwiedził kilku niebezpiecznie chorych, i dopiero o czwartej godzinie wsiadł do powozu i kazał jechać do Trampton.

Posiadłość sir Lionela Halsted leżała o pięć mil od Rockborough, wzdłuż prowadzącej tam drogi ciągnęły się zwierzyńce wiejskich obywateli, nic więc nie mogło oderwać jego myśli od smutnych wspomnień, wywołanych wypadkami zeszłej nocy. Nie starał się też bynajmniej uwolnić od nich, a jakkolwiek zmarszczki, które praca i smutek wyżłobiły na jego czole, były może w tej chwili głębsze niż zwykle, trudno byłoby powiedzieć że twarz jego przybrała wyraz głębszego smutku lub powagi, nad ten który nosiła już od lat czternastu.

Ale też dla niego Cecylja umarła czternaście lat temu. Wtenczas to utracił swój skarb, a później już by go nawet nie chciał odzyskać; tak, gdyby nawet zbieg okoliczności na to pozwolił, Ulryk Ford nie chciałby wziąść na towarzyszkę życia tej która go tak niegodnie zdradziła.

Ona była powodem długoletnich jego cierpień, niwecząc w nim wiarę w moralną wartość kobiety, i osłabiając w jego duszy ufność w dobroć Boga ale nigdy nie wzbudziła w nim chęci odzyskania wraz z nią tego co przez nią utracił.

Tak więc śmierć kuzynki nie sprowadziła żadnej zmiany w jego uczuciach i życiu, tylko przykro mu było zobaczyć ją po tylu latach rozłączenia, a nadewszystko zobaczyć ją w tak opłakanym stanie.

To spotkanie roztliło na chwilę dawne jego uczucia, i otworzyło dawne rany; ale Cecylja zakończyła już życie, wszystko więc było skończone, i teraz pewnym że wspomnienie tej nieszczęśliwej miłości nie będzie mu już zakłócać spokojności, ani też myśli jego odrywać od pracy; i teraz nawet mniej myślał o wczorajszem spotkaniu, jak o tem które dziś nastąpić miało.

Zlecenie którego podjął się wczoraj, nie było ani przyjemnem ani łatwem do spełnienia, pomimo że zostawał w jak najlepszych stosunkach z rodziną i nawet nie przypuszczał aby sir Lionel mógł nie przyjąć wnuczki do swego domu; ale od dnia w którym Cecylja opuściła potajemnie dom rodzicielski, nie mówił o niej nigdy z jej rodzicami i rodzeństwem, sądził więc że spełniając polecenie zmarłej dotyczące Teodory może doznać nie zbyt uprzejmego przyjęcia. Dzięki jednak tej sile moralnej która mu dozwoliła stać się tym czym był obecnie, nie cofnął się przed spełnieniem obowiązku, jakkolwiek mógł być przykrym dla niego.

Trampton-Hill, pałac sir Lionela, był jednym z najpiękniejszych w hrabstwie, wznosił się w pobliżu drogi żelaznej, i każdy prawie z dalszych stron podróżny zapytywał, przejeżdżając koło niego, do kogo należy ten piękny pałac; wznoszący się na zielonym wzgórzu, i odbijający się tak ładnie na ciemnem tle drzew olbrzymich.

Dobra na których pałac ten się wznosił były rozległe i przynosiły bardzo znaczne dochody, dla tego też major Wilfred Halsted, starszy syn sir Lionela, był nader mile widziany przez wszystkie matki mieszkające przy Belgrawia-Square.

Młodszy syn Archibald poświęcił się zawodowi prawnemu. Starszy z braci miał lepsze serce, młodszy lepszą głowę.

Ulryk przypomniał sobie że lady Vivian mówiła mu że obydwaj bracia bawią obecnie w Trampton, i miał nadzieję że znajdzie w Wilfredzie sprzymierzeńca który wstawi się do ojca za swą biedną siostrzenicą.

Przybywszy do Trampton-Hill, znalazł całą rodzinę zgromadzoną w bibliotece. Sir Lionel drzemał, siedząc przed kominkiem w wygodnym fotelu; był to człowiek w podeszłym już wieku, a rysy jego twarzy były zbyt delikatne i wykończone, aby mógł być prawdziwie pięknym mężczyzną.

Siedząca obok niego lady Halsted była zajęta jakąś robotą na drutach składającą się z drobnych cząstek, które połączone z sobą miały utworzyć kapę na łóżko. Ulrykowi przypominała pracę Penelopy, ponieważ poznał wujenkę już z tą robotą w ręku. Lady Halsted była pulchną, okrągluchną i przyjemną staruszką; miała czarne oczy, rumiane policzki, i włosy śnieżnej białości.

Niedaleko od nich siedziała przy biórku miss Halsted, żywy obraz matki, i jedyna z córek sir Lionela która nie wyszła za mąż.

Major Wilfred rozparł się wygodnie na kanapie, i zasłonięty wielkiemi kartami Times'a używał błogiego far-minte. Po drugiej stronie pokoju siedział Archibald czytający z głębokim zajęciem jakąś książkę.

Cała rodzina powitała Ulryka bardzo uprzejmie, gdyż pomimo jego plebejuszowskiego nazwiska i zajęcia kochali go wszyscy, trochę dla niego samego, więcej przez własny interes.

On także powitał wszystkich ze zwykłą serde-

cznością, pomimo to dostrzegli zaraz w jego twarzy jakiś wzruszenie i zakłopotanie.

— Jak się masz Ford, rzekł sir Lionel otrząsając się ze snu; cóż nam powiesz nowego? Czy przybywasz z własnej chęci, czy też zostałeś wezwany?

— Nie wzywano mnie wcale, odpowiedział Ulryk siadając przy wuju. Przynoszę smutną wiadomość sir Lionelu.

— Smutną! zawołał starzec zwracając się ku siostrzeńcowi. Cóż się stało? Julja zapewnie zdrowa, była u nas onegdaj.

— To co mam powiedzieć nie dotycze bynajmniej lady Vivian, lecz twej drugiej córki, wuju, mistress Fleming.

— W takim razie nie chcę nic słyszeć, odpowiedział sir Lionel marszcząc brwi i odwracając głowę.

— Odebrałem wczoraj telegram wzywający mnie do Saltpool, mówił dalej Ulryk nie zwracając na to uwagi, udałem się tam natychmiast, i przepędziłem tam kilka godzin.

— Dajże pokój tym szczegółom, proszę cię, rzekł sir Lionel, z widocznem niezadowolnieniem.

— Zastałem mistress Fleming śmiertelnie chorą dokończył Ulryk, a odjechałem gdy już żyć przestała.

Doktór Ford życzył sobie aby wiadomość o śmierci córki wywarła na umyśle wuja silniejsze wrażenie, i dla tego powiedział mu to odrazu, bez przygotowania poprzedniego do tak smutnej wieści.

Zdawało się że życzenie jego zostało spełnione. Sir Lionel otworzył szerokie oczy, i spojrzał badawczo na siostrzeńca, jakby się chciał przekonać czy mówi prawdę, potem przechylił się na poręcz fotela z lekkim okrzykiem zadziwienia i boleści.

Lady Halsted zakryła twarz chustką i głośno płakać zaczęła; miss Halsted poszła za jej przykładem major rzucił gazetę i zawołał zrywając się z kanapy: „Czy to być może!“ Archibald złożył książkę i zbliżył się do Ulryka, jakby chciał dowiedzieć się jakich szczegółów o śmierci siostry.

— Umarła! rzekł sir Lionel; umarła! Zdaje mi się to nieprawdopodobnem. Biedne dziecko. Biedne dziecko.

— Moja droga Cecylja, odezwała się ze łkaniem matka; zdaje mi się jakby wczoraj jeszcze była tu z nami, szczęśliwa, niewinna... O mój Boże! mój Boże!

— Gdzie też jest ten przeklęty niecpoń Fleming? szepnął major kręcąc wąsy.

— Miałeś zapewnie sposobność przekonać się czy jej na czem nie zbywało? odezwał się Archibald Halsted.

— Na nieszczęście, odpowiedział Ulryk, przywołano mnie zapóźno, i przybyłem po to jedynie aby jej zamknąć powieki. Z tego co widziałem zdaje się żyła prawie nędznie, ale nie zbywało jej na koniecznych potrzebach życia.

— Czy on tam był? zapytał sir Lionel stłumionym głosem.

— Nie, i o ile słyszałem nigdy nie widziano go w Saltpool. Pan Burrel, miejscowy doktór, który ciągle leczył mistress Fleming, jest przekonany że już dawno została wdową. On także powiedział mi że chorowała ciągle już od kilku lat.

— Ale z czegóż żyła? zapytał nierozważnie major.

— Zkądże ja to mogę wiedzieć? odpowiedział zmieszany tem pytaniem doktór. Nie miałem prawa pytać się o podobne rzeczy. Kazałem opieczętować biórko i wszystkie szuflady, skoro więc pojedziesz na pogrzeb, (o czem nie wątpię) będziesz mógł dowiedzieć się o tem z pozostałych papierów.

— Cała wina ciąży na tym niecnym złoczyńcy który mi ukradł moje dziecko; on to ją wtrącił do grobu, rzekł sir Lionel, bo kobieta z arystokratycznego domu musiała tak dotkliwie czuć hańbę jaką ściągnęła na siebie zostając żoną nauczyciela rysunków, że ją to w końcu zabiło.

— Umarła w skutek piersiowej choroby, odpowiedział zimno doktór, i prawdopodobnie umarłaby na nią nawet przy odmiennych warunkach życia: jednak przyznaję że to życie mogłoby być szczęśliwe i milsze.

— O! przecież nie chcesz dać przez to do zrozumienia, Ulryku, że należało nam utrzymywać stosunki i bywać u tej biedaczki, pomimo że taką hańbę ściągnęła na nas i na siebie? Było to dla nas niepodobieństwem. Pomyśl tylko kogo wybrała: nauczyciela rysunków po sześć szylingów i sześć pensów za godzinę! Czy mogło mi nawet przyjść do myśli kiedy umawiałem się z nim o lekcye dla córek, że taki wstyd i smutek wniesie do naszego domu. A ona tak piękna i tak powszechnie chwalona! O mój Boże! mój Boże!

— No, no, nie mówmy już o tem, przerwał sir Lionel. Jestem ci bardzo wdzięcznym Ulryku, za to co uczyniłeś dla mej biednej córki, i żałuję że nie wiedziałem pierwej o jej chorobie, jednak jak to powiedziałeś słusznie śmierć jej była rzeczą nieuniknioną, powinniśmy więc znieść tę stratę o ile można najspokojniej, i starać się zapomnieć o tem że mieliśmy prawo spodziewać się dla niej świetniejszego i szczęśliwszego losu.

Głos starca osłabł i zaczął drżyć przy tych słowach, zatrzymał się więc chwilę aby uspokoić się trochę.

— Wszak mówiłeś że pogrzeb odbędzie się we wtorek, odezwał się znów, wątpię abym sam mógł udać się do Saltpool, ale Wilfred i Archibald będą z pewnością na pogrzebie, i uważałbym to za łaskę z twej strony gdybyś pojechał wraz z nimi.

— Pojechałbym zawsze, choćby sam tylko.

— Zechciej zwrócić na to uwagę aby pogrzeb był odpowiedni dla tej która była moją córką, i... i... przestańmy już o tem mówić, gdyż przyznaję że ta wiadomość wzruszyła mnie, tak wzruszyła mnie trochę.

Kończąc te słowa sir Lionel zakrył twarz chustką. Lady Halsted i miss Halsted znów płakać zaczęły.

Ulryk Ford musiał się jeszcze wywiązać z ostatniego polecenia Cecylji, i sądził że teraz właśnie najstosowniejsza do tego pora.

— To jeszcze nie dosyć sir Lionelu, jestem zmuszony dodać jeszcze słów kilka. Kiedy przybyłem do Saltpool, mistress Fleming odzyskała na chwilę przytomność, i wtenczas dała mi do ciebie zlecenie...

— Jakie.

— Powiedziała mi: Zawieź dziecko moje do Trampton, do mojego ojca, i powiedz mu że powinien ją przyjąć, bo prócz niego nie ma już nikogo na świecie.

Doktór Ford powiedział to wolno, zatrzymując się, chcąc zobaczyć jakie to sprawi wrażenie na wuju i wujence. Zrazu słowa jego wywołały tylko głuche milczenie.

— I podjąłeś się wypełnić tę jej ostatnią wolę, odezwał się nakoniec sir Lionel.

— Tak, nie mogłem uczynić inaczej, gdyż biedna dziewczyna zostałaby sama i bez żadnej opieki. Dziś rano przywiozłem ją do Rockborough i obecnie jest u mnie. Jest to czerstwa i piękna dziewczynka, którą cała rodzina mogłaby się słusznie pochlubić.

— Chlubić? Chlubić? zawołał sir Lionel z oczyma błyszczącemi i twarzą zaczerwienioną z gniewu, zapominając pod wpływem obrażonej dumy, o smutku jakiego doznał z powodu śmierci córki. Chlubić! chlubić! Nie możesz przecie mniemać, aby córka jakiegoś tam Fleminga mogła przynosić chlubę Halsted'om. Czy zapominasz czyje to dziecko, czyja krew płynie w jej żyłach? Gotówbym bardzo wiele uczynić na prośbę umierającej córki, ale nie mogę dać schronienia pod moim dachem córce Dawida Fleming, a tym mniej przyznać ją za swoją wnuczkę. Ciężko byłoby mi zgodzić się na to nawet gdyby ten człowiek już nie żył, jakże więc mógłbym ją przyjąć skoro on jeszcze żyje i lada chwila może zgłosić się po nią. Nie, to niepodobne; nie chcę słyszeć o tem więcej.

— Mówiłem o tem z mistress Fleming, rzekł Ford, i odpowiedziała mi, że już dawno nie miała o mężu żadnej wiadomości, że musiał umrzeć, a więc już nikogo niepokoić nie będzie.

— Któż może być tego pewnym? odrzekł gwałtownie sir Lionel; ale przypuśćmy że tak jest w istocie, czyż nie dość jeszcze mieliśmy z jego powodu przez te lat czternaście wstydu i smutku, aby nas skazywano jeszcze na męczarnie patrzenia ciągle na jego dziecko. Nie, nie, nawet słyszeć o tem nie chcę. Córka moja była moją córką, ale jej dziecko jest dzieckiem Fleminga, wypieram jej się na zawsze.

Drżący z uniesienia sir Lionel zamilkł i wsparł głowę na poręczy fotela. Ulryk Ford zwrócił się wtenczas do innych członków rodziny chcąc dowiedzieć się jakiego są pod tym względem zdania.

— Zdaje mi się że sir Lionel ma słuszność, odezwała się płaczliwie lady Halsted. Co innego jeszcze gdyby nasza biedna Cecylja żyła, ale skoro już skończyła, byłoby w tem coś prawdziwie dziwnego gdybyśmy okazując się tak słusznie surowymi względem niej przez lat tyle, przyjęli teraz do siebie córkę pana Fleming. Jakże później, w razie gdyby chciał przyjść do nas, moglibyśmy zamknąć przed nim drzwi naszego domu?

— I co robilibyśmy z taką dużą dziewczyną? zawołała miss Halsted.

— Przykra to rzecz dla tej dziewczynki, odezwał się major, ale zgadzam się z ojcem, że gdybyśmy uznali jej prawa, mogłoby się to stać dla nas źródłem różnych nieprzyjemności. Nie możemy przecie zawiązywać żadnych stosunków z jej ojcem, i nie możemy także wiedzieć do jakiej ostateczności mógłby dojść taki jak on hultaj aby nam zatruć życie. Nie podobno nam także przyznać dziś jego córki, a wyprzeć jej się jutro.

— Może znajdziemy adres pana Fleming w papierach pozostałych po naszej siostrze, rzekł Archibald Halsted. Jeżeli zaś nie znajdziemy, będzie można uwiadomić go o śmierci żony, za pomocą ogłoszeń zamieszczonych w dziennikach. On ze swej strony, jeżli jeszcze żyje, będzie mógł nam donieść, także przez gazety, gdzie mamy odesłać jego córkę. Zdaje mi się że nie może chcieć wyzwalać się naszym kosztem, od owych obowiązków rodzicielskich.

— A tymczasem dziecko może umrzeć z głodu, zawołał Ulryk Ford.

Jego szlachetna dusza nie umiała pojąć takiego samolubstwa i braku rodzinnych uczuć. Obawa ścią-

gnięcia na siebie kłopotów w razie uznania córki pozostałej po Cecylji, stłumiła wzruszenie wywołane wiadomością o jej przedwczesnej śmierci.

— Jest przecie *workhouse*, odezwał się oschłym tonem sir Lionel; najwłaściwsze to schronienie dla córki żebraka.

— I twej wnuczki, sir Lionelu.

— To nie moja wnuczka, Ulryku: nie przyznaję się do niej; nigdy jej nie uznawałem za wnuczkę, i nie uznam nigdy.

— Niech i tak będzie, odpowiedział Ford, podnosząc się spokojnie z krzesła, nie będę napróżno tracił czasu chcąc zmienić tak stanowcze postanowienie. Mogę cię jednak zapewnić, sir Lionelu, że to biedne dziewczę nie będzie zmuszone szukać schronienia w *workhouse*, gdyż przyrzekłem jej matce że ja się nią opiekować będę, w razie gdybyś ty wuju nie chciał uczynić tego.

— Jakto! więc chcesz ją mieć przy sobie, w Rockborough? zapytała lady Halsted zdumiona.

— Nie miałem czasu namyślić się nad tem czy będzie przy mnie lub nie, to tylko pewne że spełnię obietnicę uczynioną jej matce.

— Nieoceniony z ciebie chłopiec, Ulryku, słowo daję zawołał major z żywością, a potem zaczął coś szeptać ojcu do ucha, podczas gdy Ford żegnał się z wujenką i kuzynką.

— Ulryku, zawołał sir Lionel, kiedy doktór już miał wyjść z pokoju, proszę cię, zatrzymaj się chwilkę. Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć.

Ford zbliżył się do niego, a sir Lionel mówił dalej:

— Jakkolwiek sprzeciwia się to moim zasadom (ludzie zasłaniają się często zasadami dla usprawiedliwienia swej pychy i samolubstwa) oraz przekonaniu co do tego czy byłoby to słusznie i rozsądnie z mej strony, przyjąć do mego domu córkę tego ladaco Fleminga, i narażać się na to aby mnie w obec wszystkich nazywała dziadkiem, jednak nie chciałbym abyś z powodu tej dziewczyny miał być narażonym na znaczne wydatki, i dla tego proponuję, jeżeli tylko mistress Ford zgodzi się na to: Aby zechciała zająć się przysposobieniem dla tej małej odpowiedniej żałoby, i żeby ją następnie umieściła na jakiej dobrej pensyi; wszystkie koszta biorę na siebie aż do dnia w którym los jej zostanie rozstrzygnięty. Możesz wydać na mój rachunek ile ci się będzie zdawało potrzebnem, ale pamiętaj o tem że nie chcę słyszeć więcej o tem dziecku; skoro nie wahałeś się podjąć nad nią opieki, w razie gdybym ja odmówił, postępuj jakby tak było w istocie, i staraj się tylko w konieczności odnosić do mnie.

— No! trudno byłoby wspaniałomyślniej rozstrzygnąć tej sprawy, zawołał major z głębokiem przeświadczeniem.

Ulryk Ford przygryzł usta; wysłuchał z godną pochwały cierpliwością propozycyi wuja, pomimo że dotknął kwestyi pieniężnej, a doktór pod tym względem był nader drażliwym. Trzeba mu też policzyć za tem większą zasługę że umiał ukryć swe niezadowolnienie i odpowiedział spokojnie, z umiarkowaniem.

— Nie omieszkam odwołać się do ciebie wuju, w razie gdy to uznam za konieczne, ale sam wiesz o tem że mam więcej pieniędzy niż potrzebuję, a zresztą przyjąwszy na siebie obowiązek, chcę go spełnić sam, bez współudziału i pomocy innych.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział sir Lionel, czyń jak ci się podoba, tylko pamiętaj że chciałem wspólnie z tobą dźwigać ten ciężar. Spodziewam się, że ten interes nie wywrze złego wpływu na nasze stosunki, gdyż twoja obecność w Trampton jest dla nas zbyt pożądaną abyśmy się obyć bez niej mogli. A! gdybym był mógł przewidzieć przyszłość czternaście lat temu! Więc pogrzeb odbędzie się we wtorek, o godzinie trzeciej; nie zapomnimy o tem. Biedna, biedna, Cecylja! Kto spodziewałby się tego?

Ford mógł wreszcie pożegnać się i wrócić do Rockborough, a jednocześnie w Trompton, wszyscy, stosownie do swego usposobienia, zaczęli czynić uwagi nad troskliwością jego o dziecko Cecylji.

Co do Ulryka, ten nie przypuszczał nigdy aby sir Lionel mógł wyrzec się wnuczki i odmówić jej wszelkiej opieki, a teraz uczuł niespodziewanie, że obarczono go, prawdopodobnie na całe życie, ciężarem, którego dźwigać nie chciano. Nie żałował jednak swej obietnicy, nie przyszło mu nawet na myśl aby wyzwolić się od wszelkiej odpowiedzialności nie podejmując się tej opieki, chociaż przewidywał że mo że mieć z tego powodu wiele przykrości.

Doznawał przykrego uczucia patrząc na córkę Cecylji, ale byłoby mu boleśniej jeszcze, gdyby czuł że biedna dziewczyna potrzebuje wymuszonej litości obojętnych osób.

Mało go obchodziło, czy świat tak lubiący mieszać się w cudze sprawy, weźmie mu to za złe lub za dobre. Był zbyt szlachetnym aby się miał troszczyć co inni powiedzą, kiedy szedł za głosem sumienia, i czynił to co uznawał za słuszne i dobre. Chciał tylko dowiedzieć się jak najprędzej co o tem powie Maryanna, ale i to przez wzgląd na Dorę jedynie. Z tego powodu kazał uwiadomić siostrę że chce z nią pomówić na osobności, i dla tego prosi aby przyszła do jego gabinetu.

— Jakże się ma dziecko? zapytał jak tylko ukazała się na progu.

— Dziecko? rzekła Maryanna; jeżeli chcesz mówić o córce Cecylji Fleming, to doprawdy Ulryku, nie wiem kogo niedługo nazwiesz także dzieckiem, wszakże to dziewczyna prawie równego ze mną wzrostu.

Co prawda Dora przewyższała ją jeszcze tak pod względem siły jak wzrostu.

— A więc, jak się ma Teodora?

— O! dobrze, o ile mi się zdaje. Od chwili twego wyjazdu była ciągle milcząca i zasępiona, dałam jej kilka książek do przejrzenia, potem kazałam jej podać obiad do tego pokoju w którym jadamy śniadanie, a teraz przechodząc tamtędy widziałam że śpi na sofce. Czy widziałeś wuja Lionela i lady Halsted?

Udał że nie słyszy tego pytania i zaczął przekładać papiery.

— Biedne dziecko! rzekł po chwili, smutek i znużenie wyczerpały jej siły; byłoby lepiej gdybyś jej była zaraz kazała posłać łóżko.

— Albożona pozostanie tu na noc? zapytała miss Ford z żywością. Nie zdaje mi się to potrzebnem. Jeszcze nie tak późno aby jej nie było można odesłać do Trampton.

— Zapewnie; tylko że ona tam nie pojedzie. Sir Lionel nie chce jej ani przyjąć do siebie ani uznać za wnuczkę.

— Ulryku!

— Bardzo pojmuję twoje zadziwienie; ja sam nie sądziłem aby znajdowały się istoty tak pozbawione uczuć i tak nielitościwe; a jednak tak jest, i my na to nie poradzimy.

— A więc cóż zrobimy z tą dziewczyną? to jest co z nią zrobimy jutro?

— Pozostanie z nami, wyjąwszy w takim razie gdyby ojciec zgłosił się po nią, co jednak nie zdaje mi się prawdopodobnem.

— *Ona tu* pozostanie! *Tu, tu!* Będzie mieszkać *tu!* z tobą i ze mną?

Niepodobno by nam było wyrazić choć w części zdumienia, osłupienia i przestrachu, malującego się w tych kilku przerywanych słowach.

— Tak; będzie mieszkać z nami. Przyrzekłem jej umierającej matce że ją wezmę do siebie jeżeli dziadek nie zechce jej przyjąć.

— Ale jeżeli on odmówił, to dla czegóż my mamy brać na siebie ten ciężar. Jakież my obowiązki mamy względem tej dziewczyny?

Miss Maryanna byłaby mówiła dłużej jeszcze, gdyby brat nie spojrzał na nią w tej chwili. Znała ona już oddawna to spojrzenie, wyrażało ono postanowienie tak silne, stanowcze i nie znoszące żadnego oporu, że spotkawszy się z nim nie śmiała już sprzeciwiać się woli brata.

— Gdzież ją każesz umieścić? zapytała pokornie.

— O! gdzie chcesz, odpowiedział obojętnie. Ale wszakże jest pokój gościnny.

— W tak pięknym pokoju! zawołała zdumiona.

— Tak, ale możesz zresztą przeznaczyć dla niej inny, tylko wygodny. Jeszcze słówko; nie wątpię że każesz zaraz zrobić dla siebie żałobę, bądź tak dobra obstaluj ją zaraz i dla niej, ale tak aby nie brakowało jej niczego, i nie szczędząc pieniędzy.

— Czy chcesz abym dla tak młodziuchnej dziewczynki kazała porobić suknie jedwabne i krepowe?

— Nie znam się wcale na tem, ale jeżeli noszą takie to chcę aby i ona je nosiła. Teraz zaś proszę cię, każ twej służącej niech ją zaprowadzi do jej pokoju i pomoże się rozebrać my zaś tymczasem zjemy obiad. Nie będziemy już dziś mówić więcej o tym przedmiocie.

Powiedziawszy to wstał, i poszedł zmienić ubranie.

VII.

Dalszy ciąg pamiętnika Teodory.

Trudnoby mi było powiedzieć dokładnie po tylu latach w jaki sposób dowiedziałam się że pozostanę przy kuzynie Ulryku, ale to dobrze pamiętam że ta wiadomość szczerze mnie ucieszyła. Słyszałam coś o jakiemś miejscu zwanem Trampton, w którem niegdyś mieszkała moja matka, i lękałam się aby mnie nie odesłano do tych wielkich panów, którzy jak mówiono byli moimi krewnymi, bo jakieś przeczucie mówiło mi że tam nie znajdę serc kochających, i że wszyscy tam tylko obawę będą budzić we mnie.

Wprawdzie i kuzynka Maryanna nie dawała mi żadnych dowodów przywiązania, mogę nawet powiedzieć że mnie nie lubiła, a jednak chociaż jej obejście ze mną było dumne i sztywne nie bałam jej się wcale.

Z drugiej strony pomimo że rzadko widywałam kuzyna Ulryka, i pomimo że zwracał na mnie mało uwagi gdy byliśmy razem, powzięłam ku niemu przywiązanie połączone z najgłębszym szacunkiem.

Pierwsze dni w Rockborough przeszły mi bardzo smutno. nie mogłam zapomnieć o mojej biednej matce, którą pozostawiłam bladą i nieruchomą na tem łóżku na którem tak długo cierpiała. Byłam zamyślona i milcząca, bo czułam się nieszczęśliwą a miss Maryannie podobało się widzieć w mym smutku przystęp złego humoru, i albo mnie zostawiała zupełnie samą, albo w towarzystwie mistress Pinner, swej panny służącej; ale to było dla mnie

najprzykrzejszem że prawie nie widywałam kuzyna Ulryka.

Zdaje mi się że otrząsłam się po raz pierwszy z otrętwienia kiedy mi przyniesiono żałobną suknię. Wiedziałam że w tym dniu mają odprowadzić zwłoki mej matki na miejsce wiecznego spoczynku, i płakałam gorzko gdy mnie ubierano; pamiętam nawet że łzy moje spływały na piękną czarną jedwabną suknię, ale że nie miałam dotąd na sobie nic równie kosztownego, przestałam w końcu płakać przypatrując się memu ubraniu.

Postanowiono że śniadanie będę pić razem z kuzynką Maryanną, w tym pokoju w którym zwykle przebywała rano; obiad jadłam osobno, tam gdzie *lunch* podawano, ale kuzyn Ulryk ukazywał się tam bardzo rzadko; herbatę zaś piłam razem z mistress Pinner, wtenczas gdy na dole zasiadano do obiadu. Następnie pukano do drzwi, i zjawiał się w nich Wheler który mi oznajmiał że doktór Ford prosi aby miss Fleming zeszła do pokoju jadalnego. Przygładzano mi włosy, zbiegałam ze schodów, i pozostawałam już razem z memi kuzynami aż do chwili w której udawałam się na spoczynek.

Jakkolwiek kuzyn Ulryk był dla mnie bardzo dobrym, jednak rzadko kiedy przemówił coś do mnie. dla tego też przepędziłam często cały wieczór z książką lub robótką w ręku, nie wymówiwszy prawie jednego słowa. Jakaż to różnica z mojem dawnem tak swobodnem i ruchliwem życiem.

Mówię tu o pierwszych dniach mojego tam pobytu, kiedy jeszcze smutek tłumił wrodzoną moją żywość, i zanim przyzwyczaiłam się do tak nowego dla mnie życia; gdyż wszystko to wydawało mi się nowem i dziwnem, tak całe miasto jak nasz dom i przyjęte w nim zwyczaje, ale skoro oswoiłam się z tem wszystkiem, zaczęłam odzyskiwać stopniowo moje dawne usposobienie.

Wieczorem, w dniu pogrzebu mej matki, oznajmiono mi o zwykłej godzinie że miss Ford czeka na mnie, i zeszłam do jadalnego pokoju, w którym zastałam kuzynkę Maryannę samą tylko i także zupełnie czarno ubraną. Wiedziałam że włożyła żałobę po mej matce; i dla tego wydała mi się w tej chwili daleko sympatyczniejszą jak zwykle, a ona ze swej strony okazywała mi także więcej życzliwości, ale po powrocie brata usposobienie jej dla mnie uległo znów niekorzystnej zmianie.

Otworzył prędko drzwi, rzucił na stół kapelusz opasany czarną krepą, i milcząc usiadł przy stole Nie mogłam się zdobyć na to aby mu podziękować że jeździł do Saltpool dla oddania mej matce ostatniej przysługi, a jednak pragnęłam coś do niego przemówić, bo wiedziałam że był tam gdzie pożegnałam ją na zawsze. Nie miałam z sobą ani książki ani roboty, przysunęłam się więc do niego z krzesłem o ile mogłam najbliżej, i nie spuszczałam z niego oczu, w nadziei że może zechce mi coś powiedzieć.

Spojrzał na mnie nagle i dostrzegł że tak wpatruję się w niego; zdawało mi się z razu że mu się to nie podobało, bo odwrócił z żywością głowę, ale wkrótce znów się ku mnie zwrócił i rzekł z uśmiechem uderzając mnie lekko po ramieniu.

— Cóż to, panienka nie mogła dziś znaleźć sobie jakiej zajmującej książki.

Wstałam chcąc wybrać którąś z leżących na stojącym trochę dalej stoliku; i przekładając je usłyszałam że miss Maryanna zapytała się cicho, ale z wielką żywością:

— Czy przeglądano dziś papiery?

— Tak, odpowiedział zimno.

— I nie znaleziono żadnego adresu, żadnej wskazówki, słowem, nic podobnego?

— Nic, zupełnie nic.

— Doprawdy to rzecz dziwna, niepojęta. Wszak zamieścisz stosowne ogłoszenie w gazetach.

— Nie wiem jeszcze. Proszę cię, nie mówmy teraz o tem.

Wiedziałam że mówią o mnie lub o czemś dotyczącem mnie z blizka, i dostrzegałam że nie zgadzają się z sobą, ale kiedy powróciłam z książką miss Maryanna zamilkła, a kuzyn Ulryk kończył swój obiad. Miałam wielką ochotę dowiedzieć się o czem w tej chwili myśleli.

— Czy ja mam ztąd odjechać? zapytałam nieśmiało, pociągając go za rękaw.

Spojrzał na mnie życzliwie i z dobrocią.

— Nie, moje dziecię, powiedział, zostaniesz tu z nami.

— O! jakże mnie to cieszy! zawołałam z żywością.

Rzucił tylko oczyma na moje żałobne ubranie, i nie powiedział nic więcej.

Od tej chwili obejście kuzynki Maryanny ze mną uległo zupełnej zmianie, była ciągle zadąsana, potrącała krzesła, a do mnie przemawiała tak ostrym głosem iż w końcu zdawało mi się że musiałam popełnić coś bardzo złego.

— Teodoro, zawołała jak tylko wybiła dziewiąta godzina, idź już spać, aby Pinner nie potrzebowała czekać na ciebie. I chciała mnie wyprowadzić z pokoju zanim zdążyłam powiedzieć dobranoc jej bratu.

— Chciałabym jeszcze powiedzieć dobranoc... jemu, rzekłam do niej bo dotąd nie wiedziałam jak mam nazywać mego opiekuna.

— Proszę cię Ulryku, powiedz jak cię Dora ma nazywać? zapytała, gdy on z powagą przybliżył usta do mego czoła. Nie może zawsze mówić o tobie: *gentleman*, lub też *on*, bo to wygląda śmiesznie.

Nie odpowiedział zaraz jakby namyślał się co ma powiedzieć.

— Może sobie życzysz aby cię nazywała *papa* jak to czynią zwykle przybrane dzieci, rzekła miss Maryanna z taką goryczą że to aż zwróciło moją uwagę, pomimo że nie mogłam zrozumieć co mogło ją wywołać.

Milczał jeszcze ciągle, a ja czekałam niecierpliwie na jego odpowiedź, gdyż był tak dobrym że byłoby mi bardzo miło nazywać go ojcem.

Usta jego milczały; ale zwrócił na siostrę tak zimne i surowe spojrzenie, że zaczerwieniła się jak wiśnia.

— Czy wiesz Teodoro, w jakim stopniu jesteśmy z sobą spokrewnieni? zapytał mnie nakoniec.

— Jesteś moim kuzynem, wszak prawda? i byłeś także kuzynem mej kochanej matki, dodałam ze łzami w oczach.

— Tak, byłem jej kuzynem, i jestem także twoim, pomimo że jestem od ciebie bez porównania starszym. Uważam więc że będzie najstosowniej, abyś mnie nazywała *kuzynem Ulrykiem*.

— Czy mama tak cię nazywała?

— Tak... niekiedy... Jest to więc już rzecz ułożona; teraz idź spać. Dobranoc ci moje dziecię.

Począwszy od tego dnia zaczęłam stopniowo odzyskiwać dawną żywość i wesołość, nie tak prędko wszakże stałam się równie swawolną i hałaśliwą jak przedtem, pomimo to zanim miesiąc upłynął dopuściłam się już paru ważniejszych przekroczeń.

Byłam w tym czasie zbyt pozostawiona samej sobie, a to użycie sedentaryjne, pozbawione tej swobody, jakiej używałam w Saltpool, niecierpliwiło mnie, drażniło, i nasuwało mi różne niedorzeczne pomysły. Kuzynka Maryanna nie wiedziała zapewnie jakie mogą być wymagania natury tak żywej jak moja, bo inaczej byłaby znalazła jakieś zajęcie, oddalające odemnie pokusy.

Jak to już powiedziałam wyżej, nie miałam zamiłowania do zajęć umysłowych, i nie byłam do nich odpowiednio przysposobioną, a w tym domu, na nieszczęście, tylko takie znaleźć mogłam. Codzień rano, jeźli tylko była pogoda, Pinner wychodziła ze mną na spacer, i prowadziła mnie chętnie, na moje żądanie na najpiękniejsze ulice miasta, gdyż bardzo lubiłam przyglądać się wystawom przed sklepami, ale te metodyczne i zawsze jednostajne przechadzki, nie mogły trwać zbyt długo, a następnie wolno mi było rozporządzać czasem jak mi się podobało.

Z początku znajdowałam w domu kuzyna Ulryka niewyczerpane źródło zajęcia i rozrywki, było w nim tak wiele obrazów i innych dzieł sztuki, bronzów i pięknych wyrobów z porcelany, jak gdyby w jakimś muzeum.

Nie zapomnę nigdy tego dnia; w którym kuzyn Ulryk zastał mnie w salonie, przyglądającą się z zachwyceniem ślicznemu pejzażowi. Wszedł niespostrzeżenie i zdawał się zadowolonym z naszego spotkania, ale niestety! trwało to bardzo krótko, gdyż ośmielona jego łagodnym uśmiechem, zaczęłam mówić z wielkim zapałem, że bardzo lubię obrazy, i że dawniej tworzyłam je często w myśli leżąc na trawie. Czoło jego zachmurzyło się gdy to mówiłam; potem odwrócił się i wyszedł do swego gabinetu.

Po pewnym jednak czasie tak już dobrze znałam wszystkie przedmioty znajdujące się w salonie, że potrzebowałam innej rozrywki, i nakoniec przyszła mi raz ochota aby korzystając z nieobecności kuzynki Maryanny, zabawić się tak jak często bawiłam się dawniej, to jest wchodząc na schody a następnie spuszczając się z nich po poręczy. Oddawałam się z całym zapałem tym niezbyt bezpiecznym świczeniom gimnastycznym, gdy Wheler nadszedł, i oznajmił mi ze zwykłą swą powagą, że jeżeli nie przestanę się tak bawić, będzie zmuszony uwiadomić o tem pana doktora.

Zaczęłam więc błąkać się po domu jak dusza pokutująca szukając czegoś takiego czego nie znałabym jeszcze, i znalazłam się wreszcie przed drzwiami pokoju w którym nie byłam dotąd wcale; był to gabinet w którym kuzyn Ulryk przyjmował chorych.

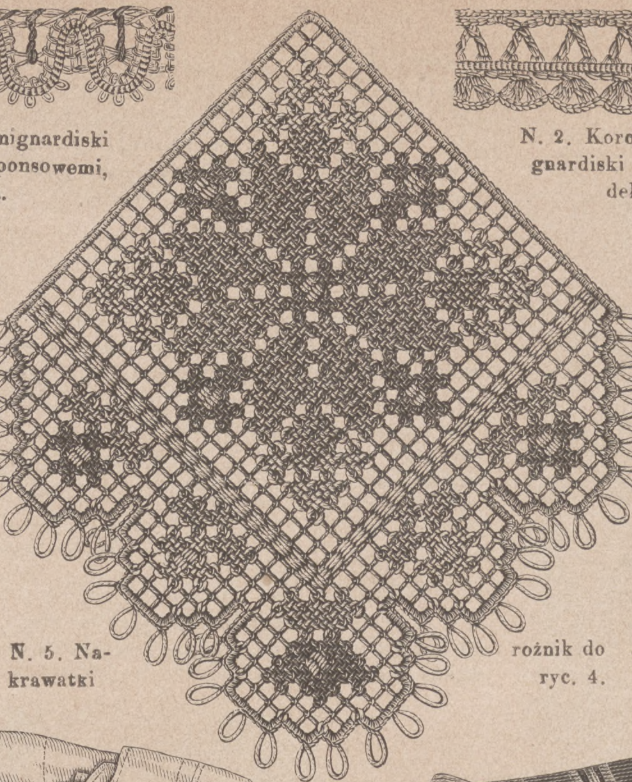
Wprawdzie nie zakazano mi tam wchodzić, ale wiedziałam dobrze iż nikt z mieszkańców domu, nie odważyłby się na to, że nawet drzwi były prawie zawsze zamknięte na klucz, że tylko Wheler'owi wolno było tam sprzątać, i że nawet kuzynka Maryanna nie poważyłaby się przestąpić tego progu bez wyraźnego upoważnienia brata. Wszystko to właśnie czyniło dla mnie ten pokój ponętniejszym jeszcze, gdyż w tem poszanowaniu dla niego widziałam dowód, że musi zawierać w sobie nader ciekawe i drogocenne rzeczy. Zresztą wszystko co tam dostrzegłam przechodząc parę razy kiedy drzwi były uchylone, powiększało jeszcze we mnie chęć zobaczenia więcej. Otóż znalazłam teraz drzwi tylko przymknięte, a Wheler rozmawiał spokojnie w kuchni z innymi służącymi, nie namyślając się długo weszłam do gabinetu. (d. c. n.)

Opis do N-ru 37.

(*Dokończenie*).



N. 3. Żabot z krepy jedwabnej i koronki.



N. 1. Koroneczka z mignardiski ozdobiona ściegami ponsowemi, spajana igłą.

N. 5. Narożnik do krawatki ryc. 4.



N. 2. Koroneczka z mignardiski i roboty szydełkowej.

Szlak otaczający kuferek w koło, w takich jak medaljon kolorach, odrobić podług deseniu w naturalnej wielkości, ryc. 27. Haft przyrabia się do aksamitu paskami haftu płaskiego, robionego podwójną oliwkową filozelą, a środkiem paska naszywa się sznureczek złoty. Drugi taki, pasek haftuje się na tle aksamitnym, w odstępie wskazanym na ryc. 27.

N. 28. Znak do haftu na chustce do nosa. Haft biały i kolorowy.

Na model tarcza spodnia odrobiona była kolorem białym i ponsowym, a zwierzchnia białym i niebieskim.

N 30. Ubranie neglizowe.

Szlafrok biały batystowy trochę powłóczysty, formą princesse, u dołu ogarnirowany 3 ma drobno plisowanemi w środku przestębnowanemi falbankami, 5 cent. szerokiemi zachodzącemi jedna na drugą. Przód szlafroka mankiety i kieszenie, zdobią falbanki haftowane 6 cent. szerokie, i szlaczki 3-4 cent. szerokie, wyszyte ściegiem krzyżowym bawełną niebieską. Czepek z blado niebieskiego surah i koronki malowanej różnemi kolorami.

N. 4—5. Kokarda ozdobiona siatką kolorową.

Przyozdobienie kokardy z blado niebieskiej atłasowej wstążki 6 c. szerokiej stanowi kwadrat siatki z kolorowego jedwabiu i nitki złotej, którego wzór przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 5. Prosty siatkowy kwadracik zakończony z dwóch brzegów koronką, odrobiony z jedwabiu oliwkowo zielonego, na tem tle ściegiem płaskim (point de toile) jaśniejszym cieniem wyszyta jest gwiazda przy której ciemniej odznaczające się promienie są ponsowe ze złotem; cztery narożniki są blado niebieskie. Pukle w kokardzie liczą po 8 i 10 cent. długości; a koniec wysiepany 12 cent.

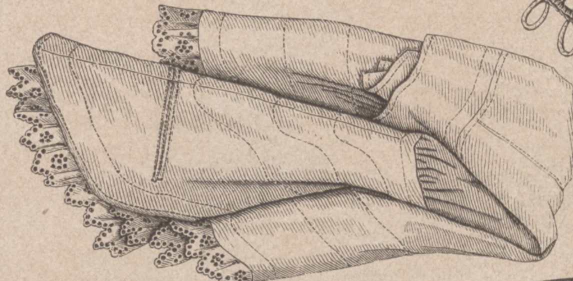


N 4. Kokarda ze wstążki ozdobiona siatką kolorową. Patrz ryc. 5.

N 6—7. Modne pończochy.

Gładkie pończochy ozdabiają haftem wyszytym tylko z boków; rycina 7 załącza model z paskowej fil d'Ecosse, haftowany niebieskim i ponsowym. Rycina 6 przedstawia pończochę granatową w pasy szkockie.

N. 6 — 7. Modne pończochy.



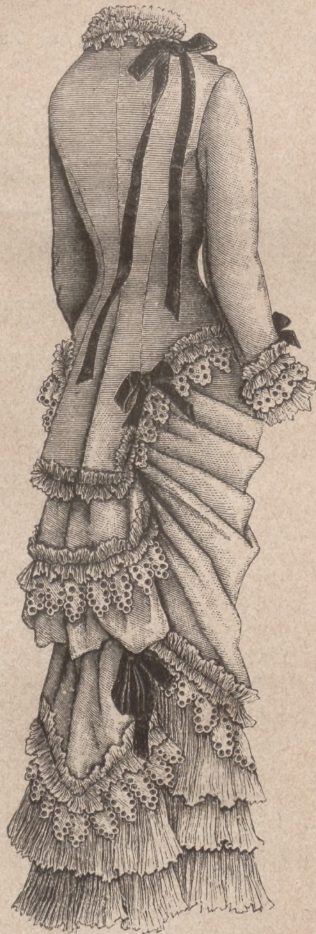
N. 8. Spódnica z trenem, strona wewnętrzna. Patrz ryc. 9 i 43.



N. 12. Poduszka pod nogi. Haft z aplikacyą aksamitu.

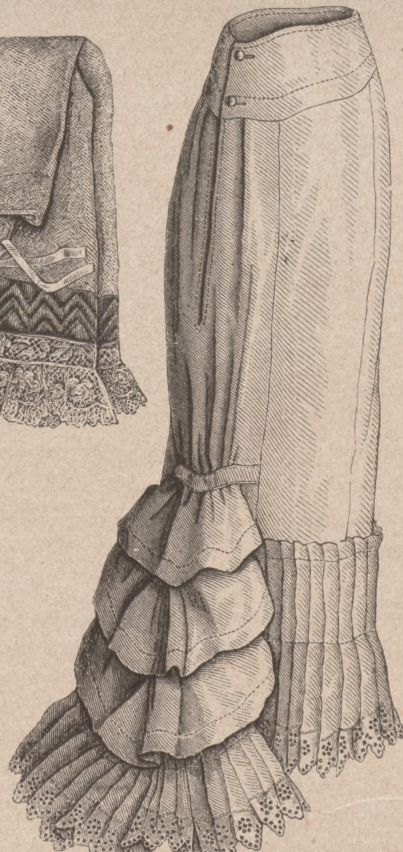
N 8—9 i 43. Spódnica z trenem.

Odznacza się oryginalnym krojem i odrobieniem, gdyż do nadmarszczenia górnej części tylnego bryta, przyszywa się części dolna stanowiąca tren krajana gładko z podwójnego materyału i dla sztywności opatrzona wstębnowanemi sznurkami. Rycina 43 wskazuje krój spódnicy i miary długości. Przód i kliny a i b wszywa się gładko do podwójnego paska; tylny bryt jest przymarszczony, dolny brzeg tylnego bryta jest również, przemarszczony i wstębnowany między podwójny materjał części d, stanowiącej tren. Część ta w środku tylnego szwa i z boków złożona ukośnie; gruby sznur dany jest raz przy brzegu; dwa razy poprzecznie w środku w odstępie 25 cent. od dołu, jak to widać na rycinie 8, przedstawiającej lewą stronę spodu. Przód i boki zakończone są plisowaniem 29 c. szerokiem, oszytem haftem 9 cent. szerokim przestębnowanym dwa razy. Tren zakończony falbaną plisowaną 16 cent. szeroką, przyszytą



N. 13. Ubranie z białego batystu. Przód na ryc. 1 w N-rze 37.

N. 10. Krótka flanelkowa spódniczka.



N. 9. Spódnica z trenem. Patrz lewą stronę na ryc. 8, model i miary kroju na rycinie 43.

N. 11. Stanik pod suknię ze szmizetką.

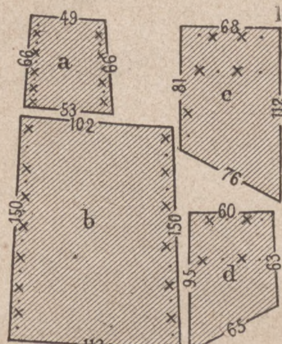


N. 14. Ubranie ze stanikiem fałdowanym.

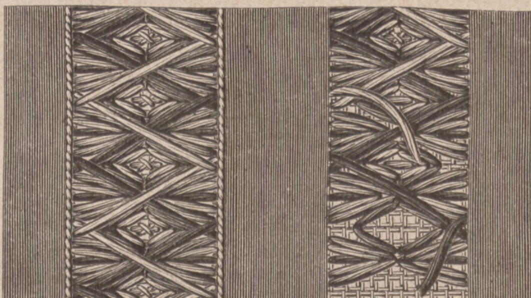
Opis do N-ru 38.

N. 3. Żabot z krepy jedwabnej i koronki.

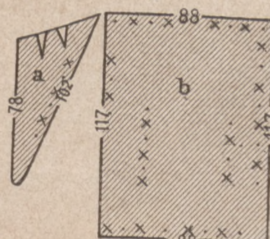
Ułożony z kawałka crêpe-lisse 20 cent. szerokiego a 30 długiego, oszytego z brzegów wązką wszywką i koronką duchesse 5 cent. szeroką, którą można zastąpić koronką point-lacc lub wywodzoną na tiulu. Tak przygotowany kawałek zakłada się wzdłuż w fałdy i przyczepia środkiem do kawałka sztywnego tiulu. Jedną połowę składa się wachlarzowo, drugą podpina w pukiel podług ryc. 3; w środku oryginalne przepięcie z emblematami malarskiemi.



N. 16. Wskazanie kroju draperyi do ryciny 2 w N-rze 37.



N. 15. Haft długim ściegiem na kanwie do ryc. 40.



N. 17. Wskazanie kroju draperyi do ryc. 31 i 32.



N. 18. Ubranie z bluzką fałdowaną dla małego chłopczyka.

N. 19. Ubranie z paletocikowem vetement dla małej dziewczynki. Przód na ryc. 11 w N-rze 37.

do kawałka perkalu 5 cent. szerokiego 132 długiego, zmarszczonego u góry i przyszytego do spódnicy. Po nad tem dane trzy falbany skośne, w środku 22 w końcach 14 cent. szerokie.

N. 10. Spódniczka krótka flanelowa.

Uszyta z cienkiej białej flaneli, liczy z przodu 73, z tyłu 77 cent. długości i składa się z dwòch klinów, przedniego bryta i prostego tylnego bryta, które u góry wynoszą 135 u dołu 194 cent. szerokości. U góry



N. 29. Mantyla suto ozdobiona perełkami.

podszyta listewka perkalowa, z przodu 6 z tyłu 2 cent. szeroka, w którą nawłóczy się tasiemkę do ściągania. U dołu dana plisa z niebieskiego atłasu 12 cent. szeroka przestębnowywana w zęby, niżej zaś wszywka gipiurowa i koronka 6 cent. szeroka.

N. 11. Stanik spodni ze szmizetką.

Zastębnowany jest w górnej połowie w drobniuteczkie zakładki dochodzące do wcięcia stanu, zbywająca zaś szerokość naddaje się na biodrach. W przody głęboko wycięte wstębowana jest szmizetka marszczona z cienkiego batystu. Górny wykrój otoczony jest wszywką i koronką, przystębnowaną wąziutkiemi pliskami.

N. 12. Podnóżek. Aplikacya aksamitu.

Poduszka 10 cent. wysoka pokryta jest żółtawem suknem, na którem dana aplikacya z kolorowego aksamitu. Boki zasłania szeroka frendzla. Desenie do aplikacyi znajdą się w dawnych N-rach Tygodnika Mód.



N. 22. Bukiecik z kwiatów z piórem „marabout."



N. 25—26. Ubranie z długim stanikiem dla młodych panienek.

N. 14. Suknia z fałdowanym stanikiem.

Odrobiona z ponsowego perkalu w kolorowy rzucik i ozdobiona szlakami 5 i pół cent. szerokiemi. U dołu sukni dane trzy falbanki po 4 cent. szerokie, wyżej zaś falbana układana w kontrafałdy, 20 cent. szeroka. Suto fałdowana tunika składa się z dwóch części zachodzących na siebie oszytych szlakami. Upięcie tylne dane z dwóch prostych brytów 76 i 102 cent. długich, po 56 szerokich, zfałdowanych do 21 cent. wpuszczonych w szwy przy tylnym brycie sukni o 9 cent. poniżej paska i skrzyżowanych w lekką bufę. Długi stanik ma środkiem plecow założoną kontrafałdę potrójną, u dołu rozszerzoną i podszytą plisowaniem 13 cent. szerokiem. Przody stanika również założone w fałdy. Pasek i kokardy jedwabne.

N. 18. Ubranie małego chłopczyka.

Odrobione z materyału wełnianego, korciku lub płótna składa się z majteczek ściągniętych na elastykę poniżej kolan i bluzy z plecami i przodami fałdownemi wszytemi w karczek. Fałdy przystębno-



N. 33. Krawat szalowy z fularu w pasy.



N. 24. Kołnierz chusteczkowy z fularu w paski i koronki.



N. 31 — 32. Suknia ubrana szarfą. Model i miary draperyi rycina 17.

N. 23. Bukiecik do głowy z makówek i liści do cieniu.

wane są w pasie i przyciśnięte paskiem u dołu zaś wolno puszczone. Na karczek zachodzi szeroki wykładany kołnierz.

N. 20. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Jest z ażurowego żółtawego materyału, skrojona formą princesse zapinana z tyłu na guziki i suto przybrana haftowanemi falbankami. Z przodu dany przemarszczony plastron z gładkiego materyału.

N. 24. Kołnierz chusteczkowy.

Stanowi strojne dopełnienie skromnego ubrania i obecnie bardzo jest noszony. Rycina 24 przedstawia kołnierz formą marynarską z fularu w paski białe z niebieskiem, z tyłu 9 cent. szeroki z przodu podłużnie otwarty. Oszycie stanowi mocna koronka clury 6 cent. szeroka, naszyta dwoma rzędami; z przodu dany rodzaj żabota z koronki.

N. 25—26. Ubranie młodej panienki.

Rycina 25 i 26 przedstawiają przód i plecy sukni odrobionej z materyału wełnianego lub do prania; zamiast przybrania z plisek danych



N. 27—28. Ubranie ze stanikiem bluzkowym dla młodych panienek.

jedna przy drugiej można dać skosy wyszyte krzyżykami. Przy spódnicy dane plisowanie 32 cent. szerokie, ozdobione wyszyciem. Długi paletocikowy stanik ma plecy od pasa założone w fałdy.

N. 27—28. Suknia z bluzkowym stanikiem dla młodej panienki.

Uszyta z fularu w paski białe z niebieskim, albo też z zefiru lub t. p. letniego materyału. Spódnica i tunika wszyte są w jeden pasek; cztery plisowania u sukni są 5—10 cent. szerokie. Przednie części tuniki są po 90 cent. długie, szerokość jednej 90, drugiej 80 cent. wynosi, oszyte są plisowaniem 4 cent. szerokiem i takąż koronką; górny brzeg jest zmarszczony odpowiednio do objętości paska dolny jest trochę zaokrąglony, boczne zebrane są w fałdy do 70 cent. Prosty tylny bryt 98 cent. długi a 75 szeroki w górze złożony jest w dwie kontrafałdy, z brzegów oszyty plisowaniem, z boków lekko podpięty zachodzi na draperye przednie. Przody bluzki ładnie leżącej na figurach szczupłych, nadmarszczone są od ramion, na co przy krajaniu potrzeba trochę naddać materyału;



N. 34. Krawat szalowy z crêpe de Chine.



N. 20. Sukienka princesse z wyciętym stanikiem dla małej dziewczynki.

N. 21. Spódniczka fałdowana i bluzka dla małej dziewczynki. Przód na rycinie 12 w N-rze 37.

plecy u góry przemarszczone są 4 razy u dołu ośm. Guziczki z konchy perłowej; pasek 4 cent. szeroki zapięty z boku kokardą; rękawy garnirowane koronką i plisowaniem. Na ryc. 27 widzimy taką suknię z gładkiego materyału zdobną haftowaną falbanką zamiast koronki.

N. 29. Okrycie zdobne wyszyciem i grelotkami z perełek.

Odrobione formą dolmanową z czarnej jedwabnej ażurowej tkaniny podobnej do grelotowego tiulu, całe tło wyszyte robotą tamburkową w deseń ciągniony przeszywany bogato perełkami. Koronka chantilly 13 cent.



N. 30. Strojna wizytka z kołnierzem zegarnirowanym koronką.

N. 35. Szlak wyszyty filozelą na kanwie siatkowej. Patrz w zmniejszeniu dwa razy powtórzony deseń na rycinie 36.

szeroka zakończa dolne brzegi okrycia, przy rękawach i przy szyi dana riusza z koronki 7 cent. szerokiej. Na koronkę spada frendzla z grelotek 5 cent. szeroka, kokardy z wstążki atłasowej 9 i 5 cent. szerokiej.

N. 30. Wizytka z kołnierzem koronkowym i sutą riuszą.

Bardzo strojne okrycie do ubrania wizytowego jest z ciężkiej czarnej serge podrabianej na podobieństwo atłasu, brzegi w około od spodu podszyte są ciemno ponsowym atłasem. Bogate przybranie stanowi suta riusza koronkowa i szeroka frendzla z perełek. Kołnierz koronkowy ułożony z koronki 3 cent. szerokiej fałdowanej w kontrafałdy i zachodzącą na siebie. Kokarda z a tłasowej 5 c szerokie wstążki dan przy wykroj szyi i u doł końców prze dnich, zebranych w fałdę.

N. 38. Worek na brudne kołnierzyki i t. p. Robota macrame, patrz próbka na ryc. 39.

Kapelusz z cienkiej białej słomki, suto przybrany atłasem bordeaux i różowym i takiem cieniowanem piórem, rondko podszyte materyą bordeaux.

N. 31—32. i ryc. 17. **Suknia** przepięta szarfą

Odrobienie sukni wskazane na ryc. 31—32 nadaje się do materyałów jedwabnych, wełnianych, fularu lub satynki bawełnianej. Do ubrania sukni z żółtawej satynki w kolorowy rzucik użyty reps jedwabny koloru heljotropu, z którego było dane plisowanie wąziutkie brzegiem sukni i szarfa. Spódnica uszyta z żagnotu pokryta jest z wierzchu aż po brzegi tuniki zachodzącem plisowaniem; ażeby fałdy się nie rozkładały trzeba je niewidocznie przyczepić do spódnicy; a ciemne plisowanie u dołu zachodzi koronka 7 cent. szeroka, lekko naddana podszyta pod szerokiem plisowaniem. Na ryc. 17 dajemy w maleńkim formacie wskazanie kroju tuniki której krótkie części przednie *a* są oszyte koronką i podchodzą pod bryt tylny fałdowany podług danych znaków na części *b*. Bryt ten z lewego boku zebrany do 52, z prawego do 60 cent. a wzdłuż dolnego brzegu sfałdowany ściśle do 15 cent. podwinięty u dołu na kształt bufy i przyczepiony na spódnicy. Górne brzegi tuniki przyszyte są na sukni w odstępie 8—10 cent. od paska. Stanik ma baretowy plastron z haftu gipiurowego, u góry 14 cent. szeroki, przy głęboko otwartym z przodu wykroju szyi dany piękny gipiurowy kołnierz. Szarfa ze skosu materyi 24 cent. szerokiego założona na złączeniu baskiny z tuniką, podług ryc. 31 — 32.

N. 37. Ramy do portretu malowane na atłasie.

N. 40. Torebka na roboty. Wyszycie na kanwie podług ryc. 15 i ryc. 9--10 w N. 37

N. 41. Czepek dla osób w wieku. Przód i opis ryc. 7 w N-rze 37.

N. 36. Szlak robiony na siatkowej kanwie.

N. 33—34. Dwa szalowe krawaty.

Ryciny 33—34 przedstawiają niezmiernie modne szalowe krawaty stanowiące dopełnienie spacerowego ubrania, liczące zwykle 135—150 centym. długości a 18—25 szerokości.. *d. n.*

N. 42. Model kroju do ryc. 16 i 29 w N. 37.

N. 39. Próbka roboty do ryc. 38.

N. 44. Deseń na serwetkę ryc. 4 w N. 37. Robota krzyżowa

N. 45. Narożnik do frendzli ryc. 5. w N. 37. Robota macramé.

N. 43. Model kroju do ryc. 9.